

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 18 lipca 1948 r.

Nr 29 (138)

TREŚĆ NUMERU: J. Majkut — Czy taki głód istnieje? M. Stryjewski — Wiersze. A. Pankowicz — Pojęcie nauki katolickiej. Z. Lichniak — Recenzja z niewydanego tomu. Z zagadnień gospodarczych. H. Malewska — Kardynał Yuang - Czeng. Tydzień kulturalny. Wędrowki po scenach polskich. Z. Jakimiak — List do redakcji. W. Pietrzak — Lot jaskółek. Czytelnik uważa, że..

Jan Dobraczyński

EROTYZM KOMERCYJNY?

Atak, który rozpoczął O. Jacek Woroniecki w „Tygodniku Powszechnym”, pogłębił swoim listem Ks. Błotnicki, a ostatnio kontynuuje K. W. Zawodziński przeciwko pisarzom katolickim, którzy ze względu na „modę” lub „popyt w danym okresie na podobną zaprawę erotyczną w literaturze” umieszczają w swych utworach sceny grażące z pornografią — wymaga rozważenia. Ponieważ padły w dyskusji dwa nazwiska: Gołubiewa i Żukrowskiego — sięgnąłem po „Chrobrego” i „Piórkiem flaminga”, jeszcze raz obie książki przejrzałem. I muszę powiedzieć, że nie mam uczucia, aby atak — w teorii słuszny — był także słuszny w odniesieniu do tych dwóch pisarzy. Najprzód Żukrowski. Można kwestionować potrzeby rozniesienia wielkiego talentu, jaki posiada autor „W kraju milczenia” na artystyczne glupstwa w stylu opowiadań przewrotnych, można mieć — i to poważne — zastrzeżenia przeciwko zdecydowanie pornograficznemu (i nie wiele mającym wspólnego z treścią książki) ilustracjom Uniechowskiego. Można mieć wątpliwości wobec opowiadania „Wskreszony Łazarz” gdzie z dużą, bądź co bądź, swobodą pisarz potraktował postać świętego — na tomiast wydaje mi się, że zarzut choćby nawet mało zwinionego „erotyzmu komercyjnego” książki nie powinien dotyczyć. W „Monarchistach” jest kilka swobodnych powieści, ale muszę wyznać, że kiedy mi przyszło niedawno czytać córce „Krzyżaków” i doszedłem do sceny jak to powiedziała księżna do Zbyszka: „nie przystępuj jej nóg pod ławą ani też nie trącaj ją kolany, jak to czynią inni rycerze...” wołałem nie tłumaczyć znaczenia tych dziwnych gestów. Erotyzm „zakłamanym” wydaje mi się gorszy od otwartości. Trudno jest pisać o życiu, wydzierając zeń tak ważną dziedzinę jak życie erotyczne. Naturalnie można pisać i pisać. Ks. Błotnicki przesolił w „Sprzysiężeniu”, ponieważ puścił się na opis, tam gdzie wystarczała wznianka. Ale jeśli w „Chrobrym” Gołubiewa mamy nieomal kronikarską wzmiankę, której jedynym minusem jest to, że napisana została tym samym wspaniałym zarchaizowanym językiem, jak cała książka — to już tu tym bardziej nie widzę powodu do gromów. O. Woroniecki przeciwstawia Gołubiewowi Grabskiego. Tymczasem w pierwszym tomie „Sagi” jest opis wcale barwny perwersyjnych igr pomiędzy Sigridą i Olafem — mniej może nawet potrzebny dla treści powieści, niż przytoczone przez ks. Błotnickiego fragmenty z książki Gołubiewy.

Boję się czy w wywodach Autorów, atakujących „erotyzm komercyjny” pisarzy katolickich, spotykamy się tyle z chęcią przeciwstawienia się „modzie”, ile po prostu z dziwnym niewyczuciem potrzeb chwili. To niewyczucie zdumiewa, gdy wypowiada się O. J. Woroniecki, człowiek, którego rozprawą z polskim fideizmem karmiliśmy się i którego książki kształtowały naszą umysłowość. Niemniej dziwnie — chociaż z innej przyczyny — wystąpienie Zawodzińskiego. O ile wiem ten wspaniały krytyk nie stosował dotychczas w swych ocenach estetycznych kryterium etyki — i to etyki — zresztą tej jedynej — katolickiej. Ostatnio także ks. prof. Dąbrowski — autor kapitalnego „Pawła z Tarsu” — pisząc o moich „Wybrańcach gwiazd” zechciał zarzucić, że jest w książce za dużo scen „haremowych”, potem usłyszałem od Zofii Starowieyskiej-Morstinowej wyrzut, że próżno tych scen szukała... Jeden z moich przyjaciół, ksiądz, po przeczytaniu „Wybrańców” napisał do mnie: za dużo pokazał erotyków! Nie zapominaj, że naszych czytelników wciąż jeszcze gorszy Stary Testament... W tym miejscu przeraziłem się. Jeżeli rzeczywiście realizm ksiąg Staro-Testamentu gorszy, no to — nie wiem, co o tym myśleć... Jeżeli prawda życia, tragicznego życia przed Odkupieniem, otwarta, jasna prawda nazywająca wszystko po imieniu gorszy — to może należy jej nie pokazywać? Może należy ukryć, że Dawid, śpiewak Pański, uwiodł żonę swego rycerza i że słu-

ga Abrahama wetknął kółko w nos Rebecce? Bo jakże — żona Patriarchy z kółkiem w nosie?! A czy dla tego kółka, którym gorszą się ci, których nie gorszy malowanie się bohaterki „La joie” Bernanos, na leży przemilczać wstydliwie wspaniały czas narastania Bożych obietnic?

Jeśli brutalne powiedzenie, że Bolesław żył źle ze swą żoną gorszy — to znaczy, że nie należy w ogóle mówić o pożyciu małżeńskim? Jeśli Gołubiew gorszy — to na polu zostaje tylko ks. Pasławski (bo osobiście obawiam się erotycznego wykładnika sprawy tej dziewczyny męczącej kota w „Listach spod morwy” Morcińska, nie mówiąc już o „panseksualizmie” takich „Krzyżaków”!) A jeśli Gołubiew gorszy, to czy wystarczy zamienić słowa: „żyli ze sobą” na „kochali się”, aby „Chrobry” nabrał od razu walorów „Rozdroża miłości”?

Mój Boże, może mówi przeze mnie rozgoryczenie. Ale kiedy się tak zestawia wszystkie trudności jakie napotyka na swej drodze twórczość pisarza katolickiego: na to, że go recenzja ze strony niekatolików nie spotyka (proszę zauważyć: książka Gołubiewy nie była omówiona ani w „Odrodzeniu” ani w „Kuznicy”, nie mówiąc już o Grabskim, którego „Kuznica” nawet nie chciała wymienić, gdy dostał nagrodę „Odry”), albo otrzymuje ją taką, jaką zechce napisać pani Rafałowska gdy nagrody katolickiej — po-

za tą, biedną „dziś i jutrowską” — wciąż nie ma — gdy się to zestawia z zarzutem, że pisarz pisze w duchu „erotyzmu komercyjnego” — sprawa staje się gorzką. W Polsce wystarczy przyczepić komuś łatkę — jak w tym dowcipie, co to nie wiadomo czy on ukradł zegarek, czy też jemu ukradli zegarek, ale zawsze coś tam było... — aby wszyscy pamiętali latami: on uprawia „erotyzm komercyjny”. Mauriac, które go termin O. Woroniecki chciał użyć, napisał także, że gdy go pierwszy raz nazwano pornografem, zatęgnęło mu oddech. Może więc to jest tylko brak przyzwyczajenia, może się z czasem przyzwyczaimy...

O. Woroniecki mówi o „modzie”. Moda na erotyzm? Mnie się zdaje, że jest to raczej moda na mówienie prawdy. Skończyły się czasy starej królowej Wiktorii kiedy to sprawy wstydlive chowało się pod korzec i robiło się dom... pani Dulskiej. Dziś o sprawach najintymniejszych grzmi z lam najpopularniejszych pism Majdański. Więc społeczeństwo, któremu się głośno mówi, że wstydlive wykrobywanie nienarodzonych jest po prostu morderstwem, nie jest przygotowane by mu powiedziano — językiem ostrym jak w Biblii — że Bolesław żył ze swą żoną lub Mieszko „przy garnął łapczywie Dobrawę”? To, że się mówi otwarcie o sprawach życia, to nie znaczy chyba wcale, że się nie potępia zła. Jeśli każdy obraz zła ma zaraz budzić chęć do postępowania źle — to należałoby może nie dać ludziom do czytania

„Confessiones” św. Augustyna. W książce Gołubiewa religia i moralność przewyciężają wśród tysiącznych trudności pierwotna — a dotknięta grzechem — naturę ludzką. Czy mamy wrócić do książki Przyborowskiego, Mossoczonej, Sienkiewicza, by się ludzi, że tych trudności nie było, że człowiekowi wystarczyło, że chciał być dobrym, a już był dobrym? Mówi się: młodzież, młodzież to będzie czytała. Czy młodzież dzisiejsza nie wie nic o życiu? Czy nie należy ją uodpornić na zło, pokazując jej zło w tym co jest, zamiast malowania nie realnego „anielskiego” dobra? Świetnie napisał niedawno prof. Świeżawski, że św. Tomasz nazywa się doktorem anielskim ponieważ zwalczał tezę „anielskości” w człowieku. Dlaczego literatura dotychczas nie umiała dać postaci świętego? Ponieważ fabrykowała okliwe wzorki, zamiast żywego człowieka. Ponieważ lubowała się w prawdziwych i nieprawdziwych cudach, a nie chciała zobaczyć, nielawowego do zobaczenia, cudu łaski w opornej glinie ludzkiej. Dziś dopiero powstaje artystyczna hagiografia. W swym wspaniałym żywocie św. Elżbiety Jeanne Ancelet-Hustache (wydane przez Franciszkanów!) opisuje jak to Elżbieta kazała się budzić w nocy na modlitwę, więc służąca przychodziła i ciągnęła ją za nogę. Raz przez omyłkę pociągnęła Ludwika... Po prostu zgroza: więc święta sypiała razem ze swym mężem?! I o tym można napisać!

Młodzież... Ta sprawa jest w Polsce najważniejsza. Lepiej by było, aby żaden z pisarzy nie nie pisał, niż żeby jeden z nich zgorszył młodzież. Ale czy ta młodzież to nie jest ta sama, która umiała się przeciwstawić świadomej demoralizacji okupanta, i która dziś — mimo niemłodzieżowej pedagogiki wojny zachowała — pod pozorami surowości, niechęci do wielkich słów bez sentymentalizmu — imponującą czystość? Nigdy nie wiadomo w czym się kryje zgorzenie. Pewne znajome mi zakonnice w książkach czytanych na głos w re-fektarzu wykreślały zdania, które mówiły, że któryś z bohaterów miał brodę, uważały widać, że broda jest najbardziej niepokojącym symbolem męskości. W Objawieniu w Bo-nate Matka Boża dziecku powiedziała o ohydnych grzechach kobiet współczesnych. Strusiowatość nie jest moralizatorstwem. A „komercyjność erotyczna” to ciężki zarzut, cięższy niż się zdaje. Cała pociecha, że nim — w takich lub innych słowach — traktowani byli wszyscy pisarze katolicy, którzy chcieli być pisarzami.

Jan Dobraczyński

WYTYCZNE

Krytyka pisma katolickiego

„Pozostaje... przesąd uparty i niebezpieczny, który trzeba zwalczyć i zniszczyć sprawnie. Wśród publiczności katolickiej słyhać zdanie, że książka, która nie może być czytana przez wszystkich, nie jest w zupełności książką katolicką. To szczególne pojęcie robi ze sztuki katolickiej sztukę chłopięcą, a stoi w sprzeczności z naszą wielką tradycją artystyczną. Pisarz katolicki jest, jak każdy inny, obserwatorem życia i może opracować prawie wszystkie przedmioty, jakie mu ono przynosi. Pisząc dzieło, słucha głosu prawdy i głosu swego serca chrześcijańskiego, maluje rzeczywistość, a ponad nią zapala boski ideał. Ale nie zadaje sobie pytania w jakim wieku dzieci mogą je czytać ani jakie elementy należałoby z dzieła wycofać, aby je mogły czytać dzieci w każdym wieku. Dzieło sztuki jest tym, czym jest, a my je badamy dla niego samego i dla znaczenia jakie posiada. ...Jako obraz życia czy obraz idealizowany tego życia, literatura zawsze jest jak życie i przedstawia te same niebezpieczeństwa... Dziecko wchodzi w życie z wolna, przezornie, stopniowo... Wybór jest koniecznością; przerezuć za to odpowiedzialność na pisarzy katolickich, byłaby to dość niedorzeczna niesprawiedliwość, bo znaczyłoby to tyle, co domagać się od nich, aby żyli i pracowali poza życiem. Nasi pisarze potrzebują publiczności, która by nie nakładała na nich pęt chłopięcych i rozumiała ich dążenia w sztuce“.

Ks. Jules Calvet „D'une critique Catholique“

Dmitryjow

Józef Majku,

CZY TAKI GŁÓD ISTNIEJE?

Najwspanialsze, „najpopularniejsze dzieła rozchodzą się u nas w tysiącach, w najlepszym razie w setkach tysięcy egzemplarzy — Obywateli umiejących czytać liczymy na miliony... Wynika z tego, że „głód książki“, „głód słowa drukowanego — jest u nas przeogromny, że nie zaspakajamy go nawet w jednej dziesiątej...“

Czy tak jest w istocie?

Aby się o tym przekonać jeden ze sławnych już przez to — Instytutów Kulturalno - Oświatowych przeprowadził w różnych środowiskach specjalne badania.

Badanie przeprowadzone wśród „bezkonkurencyjnej“ inteligencji wykazało, jak już podano (Nr 25 Dzis i Jutro — „przygody prawdziwej tysiąca i jednej książki“), że tylko 25 na stu obywateli, którym pod rzucono nowe książki — raczyło się nimi zainteresować. A więc wynika z tego, że „w górnych warstwach“ — specjalnego głodu nie ma. Konsumentów tego typu — mając wyrobiony smak i łatwy dostęp do różnych źródeł słowa drukowanego — zaspakajają swój apetyt stosownie do potrzeb i żadne nadzwyczajne „upowszechnienia“ nie są tu konieczne. A jeśli nawet połowa z nich wcale nie ma apetytu — to są właśnie ci, którzy się uparli pozostać w pierwszej dzikości swojej i siłą ich zmuszać do jada i napoju nie należy — tym bardziej, że są gdzieś tacy, którzy łakną i pragną... Gdzie — łatwo zgadnąć: wszędzie kędy na szerokiej prowincji ciemne łany, gdzie ze względu na brak „połączenia“ ze światem — dostęp książki jest bardzo utrudniony, a więc na wsi. Tam mieszka 70 proc. naszych obywateli — 70 proc. młodzieży w wieku szkolnym — głód książki jest tak zatrważający...

Aby to stwierdzić na miejscu i upewnić się dokładnie z czym do głodnych — wspomniany Instytut Kulturalno - Oświatowy — pchnął, któregoś pięknego poranka 26 przeznaczonych ojców i matek książki, 5 pań i 21 panów z wielkiego miasta — wprost do chłopca na wieś. Przyjemnie jest w bezpośredniej rozmowie z miłym czytelnikiem pogadać sobie w cztery oczy, usłyszeć jego szczerzy zachwyt nad swoim arcydziełem i ewentualnie spytać się go o czym mu teraz napisać i w jakiej formie...

Radosne to ale nieprawdziwe.

Na miejscu okazało się, że domniemani „czytelnicy“ współczesnych arcydzieł wcale nie czytali, a jeśli w niektórych miejscach — to bardzo znikoma ilość — i ogromnie trudno było z nich cokolwiek na ten temat wydusić. Poza nielicznymi wyjątkami czytelnicy ci sami nie wiedzieli czy chcą.. i co chcieliby czytać... któryś tam z nich błąknął, że kiedyś już „Trylogię“, że mógłby ją jeszcze raz, albo jej podobną... Inny, bardziej „uświadomiony“ stwierdził, iż według niego „Chłopi“ są nie na poziomie (bo Jagienkę ze wsi krowami wywieźli). Jeden z gospodarzy kazał sobie przywieźć książkę o hodowli pszczoł, a drugi koniecznie o chorobie świń... Znalazł się i taki, któ-

ry chciał powieść ale „gruba i żeby bohaterowie w niej długo żyli“.

Takie to „cenne“ zanotowano uwagi.

Stwierdzono również, że w pewnym miejscu ktoś za seksualizm chciał spalić Dygata, kogoś zgorszyla „Nowa Miłość“ i wygwizdano „Bal w operze“.

Zdarzyło się też w jednej gminie, że nikt nie wiedział, iż w urzędzie gminnym jest mnóstwo książek do czytania, a tam znowu, gdzie nie było to trzymane w tajemnicy — nikt podobno przez dwa lata ani jednej książki nie wypożyczył.

Trudno jest na podstawie takich i tym podobnych spostrzeżeń stwierdzić, że na wsi jest „głód książki“.

Mało kto na wsi książkę posiada ale i mało kto za nią, tęskni. Nie posiada jej głównie z tego powodu, że jej nie pragnie, a nie pragnie dlatego, że nie zasmakował do tychczas w rozkoszy i pożytku obcowania z nią...

ALKOHOL I KARTOFLE

O wiele bardziej niż książki upowszechnione są na wsi kartofle, alkohol i nikotyna. W ostatnich czasach wchodzi w użycie nawet po midory.

Trudno sobie wyobrazić dzisiejszą wieś bez kartofli. Jest to wprost nie do pomyślenia. A przecież był okres i trwał przez wiele lat, że tak jak dzisiaj książka w pojęciu wsi potrzebna jest tylko nauczycielom, urzędnikom i ludziom z miasta — tak wówczas kartofle były tylko paszłą dla bydła.

Co ma wspólnego jedzenie z czytaniem? powiedzmy. Ale np. bez alkoholu i papierosów tak samo można fizycznie świetnie żyć jak i bez książki. O ile „palenie“ w niektórych okolicach wciąż jeszcze do starcza własna plantacja — to alkohol bynajmniej wcale nie jest od

książki tańszy. A jednak w ciemnych łanach 500 zł na litr wódki zawsze się znajdzie, lecz żeby sobie gospodarz w tej cenie kupił książkę — takiemu liść wawrzynul! Ileż to jest narzekania a lamentu, gdy trzeba jesienią dać dziecku 100 zł na elementarz.

Natomiast obrót za sprzedaną wódkę, w niektórych powiatach sięga miesięcznie kilkudziesięciu milionów.

Dlaczego — przecież, książki, jeśli chodzi o „zabicie czasu“ — „oderwanie się od rzeczywistości“, „uczynienie świata pięknym czy in interesującym“ — pod tym względem w zupełności zastępuje alkohol i spełnia swe funkcje o wiele przyzwoiciej...

Dlaczego dotychczas nie weszła więc w nałóg i przyzwyczajenie — tak jak picie wódki i palenie, tak jak kartofle, jak coraz bardziej wchodzi pomidory?...

Oto po prostu dlatego, że wieś nie miała jeszcze dotychczas okazji w niej zasmakować. Nie złożyły się na to ani czasy okupacji carskiej, ani „siedmiolecia“ ale trzy oddziaływa szkoły dla wsi — w okresie międzywojennym, ani tym bardziej okupacja niemiecka... Równocześnie upowszechnieniu picia wszystkie te okresy sprzyjały nienajgorzej... Pito za cara, bo „za rubla można się było napić“ — pito za złotego, bo „złoty to był pieniądz“, pito za gorale, gdyż były niepewne.

UPOWSZECHNIENIE

A z upowszechnieniem oświaty na wsi i z tym „chłopi na wyższe uczelnie“, to jak wykazują „Przyczynki statystyczne Nr 4“ — wydane przez Ministerstwo Oświaty jest tak, że... po przejściu tych „przyczynków“ niektórym chłopom na wyższych uczelniach włosy stanęły dęba na głowie jak żyto:

oto w roku 1946/47 — uczniów szkół średnich ogólnokształcących było z miasta 91,17 proc., ze wsi tylko 8,83 proc.; w szk. średn. zawod. z miasta — 92,48 proc., ze wsi — 7,52 proc. A przecież młodzież wiejska stanowi około 70 proc. ogółu młodzieży. Dużą rolę odgrywa tu przywilej miejsca zamieszkania, ale niemniejszą też zapewne brak na wsi wśród starszych zrozumienia dla potrzeby kształcenia dzieci.

Nie znaczy to, że nie ma już wcale takich, którzy chcą a nie mogą, że nie ma już „Janków Muzykantów“. Nie, tych nam jeszcze nie brak!... Na każdej wsi znajdziemy ich co najmniej dwu, a często i dwunastu. Mnożąc tę liczbę przez ilość wsi w Polsce — otrzymamy rzeszę ogromną najzdolniejszego elementu, której należy już pomyśleć, podtrzymać ją... Mickiewiczem, Sienkiewiczem, Prusem, Żeromskim, Konopnicką, Rodziewiczówną i innymi, bez długiego zastanawiania się czy do tego dorosli, czy nie. Dla najzdolniejszych wystarczy tymczasem ta iskra zapalająca, aby im oświecić właściwą drogę, aby ich po niej prowadzić do czasu, aż kształtujące się szkolnictwo da im należną pomoc i opiekę...

Dla tych, którzy potrafią czytać a namiętnie pała i „nie mają pieniędzy na książkę“ zapobiegliwy Instytut Kulturalno - Oświatowy zorganizował już chlubną akcję, która za wyrzeczenie się jednego papierosa dziennie dostarcza czytającemu co tydzień nową, ciekawą książkę, z których po przeczytaniu kilkunastu, wybiera sobie jedną na własność... Czytając w ten sposób każdy czytaniem kompletuje sobie własną bibliotekę.

Lepszego i tańszego systemu upowszechnienia czytelnictwa stworzyć już chyba nie można.

Akcja ta dysponuje obecnie już 65.000 książek — a w planie swoim ma ambicje dotarcia do wszystkich umiejących czytać.

Chcąc zaatakować książką tych, którym nie obca jest sztuka czytania, ale tylko wódka im uprzyjemnia życie, względnie nie piją za dużo, ale też i niewiele czytają — tym trzeba dać książki „nie grube“ a „mocne“, które podziałyby na nich jak pierwszy kieliszek, jak fajka opium..., które odsłaniałyby przed nimi ogrom tajemnic wszech świata, dziwy natury, potęgę wiedzy, siłę atomu — słowem rzeczy, sprawy, zagadnienia „historie niezwykłe i porażające“ — które by mogły zatrząść, oszalać, zmuszać do myślenia i stawiania sobie pytań — do szukania odpowiedzi na nie. Pierwotnie takiej lektury mogą stanowić niektóre artykuły „Problemów“, wiele zeszytów „Wiedzy powszechnej“, „biblioteczka nie próżnującego próżnowania“ itp. — Należy tylko obmyśleć sposób dotarcia z tym „alkoholem“ do właściwego konsumenta.

Wśród książek przeznaczonych dla wsi, obok tego rodzaju lektury i nieodzwyczajnych klasyków konieczna jest również encyklopedia gospodarstwa wiejskiego i... „ratowanie zwierząt“. Chłop jesienią i zimą porą bardzo lubi jak mu dziecko czyta „bajki z tysiąca i jednej nocy“ — ale nie dziwimy się jeśli chce wiedzieć dlaczego mu kurzy zdychają lub krowa pęka i jak temu na przyszłość zaradzić.

Znam gospodarza z Majdołkach, który taką właśnie książkę „ratowania zwierząt“ bardziej upowszechnił czytelnictwo we wsi, w ciągu jednego roku, niż jego sąsiad dwu dziesięcioletnim „tłumaczeniem wszechwiedzącej Biblii“.

Książki popularno - naukowe, coś w rodzaju skróconych encyklopedii — z odnośnikami przy poszczególnych zagadnieniach do dzieł bardziej fachowych — z dziedziny techniki, rolnictwa, historii, filozofii, sztuk pięknych — trafiając na za interesowania poszczególnych jednostek, nie tylko przyczynia się do upowszechnienia czytelnictwa, ale ogromnie pomogą w samokształceniu, w podniesieniu na wyższy poziom warsztatów pracy i gospodarstwa.

Konieczną jest również książka o samokształceniu i książka omawiająca w ciekawy i przekonujący sposób ważność książki w życiu człowieka — jego całkowita od niej zależność.

Jednak wyprodukowanie odpowiednich książek i rozprowadzenie ich w myśl ustawy bibliotecznej to dopiero połowa pracy w upowszechnieniu jej. Książka aby weszła w życie wsi jak kartofel — musi być wielokrotnie, a chytrze podana do bezpośredniego „spożycia“. I o tym, to jest o sposobie organizacji czytelnictwa należy specjalnie pomyśleć.

Józef Majku

Z poezji Mieczysława Stryjewskiego

Madonna

I.

Twarz okryta chustą półmroku
Wiatr rzuca cień na oczy, by ukryć boleść —
tuli, pociesza,
Świece ronią łzy, nie czule —
nie błyszczą —
Są martwe.
Nikt ogromu ciszy nie pomieści.

II.

Przez okna z poezją witraży
Sączy promień, który nie jest blas! iem
Nadaje wyrazu tej twarzy.
Staruszka klęcząca ujrzała
hen w górze modlitwa uskrzydłona gotyk.
Zdziwiła się swoim słowem
że aż tyle myśli.

III.

W ciszy rósł wielki hymn,
nie zamieniony w pieśń.
Kadziłem owiewał Twą twarz
Na pewno usłyszał śpiew ten
maleńki zakrystian.
bo przyklął.

Tulipany

Na drucikach zieleni

poemat kwiatów wzniosły
pozdrowia rosą niebo
nieśmiałym hymnem wiosny
Kuszące, dziwne piękno
Zielone druciki unerwi
tęczą barw bije w oczy
żółty, brązowy i czerwień.
Modlitwą łączy błękit
pogodną barw symfonię.
Kwiaty nie kwiaty to oczy.
Czyje podnoszą je dłonie
Kto kwitnąć tak pięknie im każe
iż trzeba oczy uwznioślić.
Na każdym kwiecie myśl jedna.
Byśmy, jak one rośli.

**Przyszłość i odbudowa Katedry Świętojańskiej i warszawskich kościołów
zależy od Ciebie**

Czy kupiłeś już los

na Loterię Fantową Rady Prymasowskiej

Adam Pankowicz

Pojęcie nauki katolickiej

I.

Lata ostatnie przyniosły — wśród wielu innych — pewien kryzys także i nauki: mianowicie kryzys nauki „czystej”, oderwanej, pojętej jako cel dla siebie, „bezinteresownej”, społecznie nieodpowiedzialnej. Paradoksalny fakt, iż ludzkość jest w możliwości zmieniać świat tak szybko, że przestaje rozumieć, co czyni¹⁾ stawia sprawę nauki w bardzo szczególnym świetle.

Zarówno teoretyczna konieczność, jak rzeczywisty rozwój faktów coraz bardziej integralnie sprząga węzeł wzajemnej korelacji nauki „czystą” i stosowaną. Coraz rzadsze są wypadki, by zdobyci nauki teoretycznej wzbogaciła dorobek myśli człowieka bez natychmiastowej próby i wykorzystania jej w sferze praktycznej.

Tak więc działalność teoretyczna i praktyczna stapia się w jeden organizm współczesnej nauki. Skoro równocześnie mamy możliwość iść, chociażby nie wiedząc, dokąd i po co, to zarysowuje się przed nami ponury obraz: ludzkość, posiadająca np. bombę atomową, przypomina dziecko, bawiące się pudełkami zapalek. Żadne obwarowania techniczne tu nie dadzą remedium, skutecznie usuwającego ryzyko. To ryzyko leży nie w świecie wytworów, a w człowieku, jego duszy i umyśle. Stąd konieczność czynnika nadrzędnego kształtującego procesy twórcze. Czynnikiem takim zawierac będzie dwa elementy: normę pozytywną, kierującą i normę negatywną, kontrolną.

Normę pozytywną stanowić będzie „społeczne zamówienie”. Przed ludzkością stoją i stają wciąż problemy, których rozwiązanie wymaga koniecznie pewnego zrozumienia, co znów jest osiągalne jedynie na polu nauki teoretycznej. Sprawa wymaga przebudowania postawy uczonych w kierunku służby człowiekowi.²⁾ Kierowanie się w dobru nauki wyłącznie jego wartością poznawczą, „produkcja dla produkcji”, winno ustąpić na rzecz wartości obiektywnej, tj. możliwości rozwiązania spraw pierwszorzędnej wagi i znaczenia dla życia jednostki i zbiorowości. Ludzkość chce i ma prawo wymagać od nauki dostarczania czynników duchowego i materialnego postępu. Postulat ten, stawiany dotychczas głównie naukom normatywnym i teologicznym, obowiązujący musi również ich podstawę — dyscypliny teoretyczne, zespolone z nimi integralnie w jeden organizm.

Sprawdzian osiągniętych wartości tworzy zespół norm, przyjętych i uznanych za obowiązujące we wszelkich sferach ludzkiego działania. Źródłem jednej i drugiej normy — inspirującej i kontrolującej — jest pewna określona postawa wobec życia, człowieka, jego działalności i wytworów — pewien światopogląd.³⁾

I oto, gdy dzisiejsza myśl ludzka wobec tragicznego kryzysu dotychczasowych pojęć coraz powszechniej godzi się na konieczność podporządkowania wszelkich sfer działalności wszystkim ludzi jakimś jednemu zwartemu systemowi powszechnie uznanych, obiektywnych norm, stosunek nauki do światopoglądu staje się przedmiotem szczególnie żywej uwagi.

Dotrzymując kroku ogólnemu prądowi, naukowcy i studenci — katolicy rewidują i starają się sprzecyzować swój stosunek do nauki.

II.

Uwaga skierowana jest tu na dwa zasadnicze pytania:

1-o) Czy w ogóle mogą zachodzić specyficzne relacje między nauką a światopoglądem katolickim?

2-o) A jeżeli tak, jeżeli można realnie przeprowadzić podział na naukę katolicką i niekatolicką, to — jaka będzie w jego ramach differentia spaeificia nauki katolickiej?

Pierwsza kwestia nie nastrocza nam, katolikom, zasadniczych trudności. Oczywiście wykazuje, że, skoro istnieją katolicy uczeni, których praca i jej rezultaty wyróżniają się spośród innych w pewien stały sposób, to tym samym istnienie jakiejś nauki katolickiej nie da się zakwestionować. Przyjęcie pewnego światopoglądu zobowiązuje do konsekwentnego utrzymania na jego płaszczyźnie całego naszego życia i wszystkich działań. I właśnie konsekwencje, wynikające dla pracy naukowej z przyjęcia stanowiska katolickiego, są punktem ciężkości naszych rozważań.

Sprawa bowiem komplikuje się, gdy chcemy określić, jakim mianowicie wymaganiom ma nauka katolicka odpowiadać, i któredy przebiegnie linia podziału. Ustalenie tej definicji jest konieczne. Każdy intuicjonizm, wszelkie zawierzenie wycuciu musi nas wywieść na nieuniknione manowce. Jasne i jednoznaczne pojęcie nauki katolickiej musi być podstawą, regulującą stosunek do niej naukowca — katolika. Tu trzeba uczynić jedno zastrzeżenie: Sama przynależność naukowca do Kościoła katolickiego nie determinuje jeszcze katolickości jego nauki. Decyduje postawa. Założymy, że czyjaś praca odpowie wymaganiom katolickim. Czy wobec tego, w wypadku, gdyby uczonej ów stał poza Kościołem, mielibyśmy uważać jego naukę za niemożliwą do przyjęcia dla nas z tego jedynie powodu? Stąd konkluzja: kryteriów szukać należy na innej płaszczyźnie.

Stajemy wobec tezy, zawartej w punkcie wyjściowym: sprawdzianem, kwalifikującym katolickość nauki, jest jej stosunek do światopoglądu katolickiego.

III.

Trzeba unaocznic sobie pojęcie światopoglądu — doktryny katolickiej, by móc następnie zdać sobie sprawę z wymagań, jakie ona nauce stawia. Otóż podstawą tego światopoglądu jest ustosunkowanie się do prawdy: zasadniczym założeniem myśli chrześcijańskiej jest obiektywne istnienie Prawdy absolutnej, w całej swej rozciągłości umysłowi ludzkiemu niedostępnej. To najpierwsze założenie kształtuje myśl katolicką w dwie podstawowe gałęzie: teologii i filozofii. One są zasadniczym zrębem katolickiej doktryny.

Teologia⁴⁾ jest nauką o Bogu, prawdach, objawionym przez Niego ludziom, i stosunku człowieka do Boga. Zasadami jej bowiem są prawdy objawione, a nie prawdy oczywiste rozumu ludzkiego. Kryterium jej prawdziwości stanowi autorytet Boga, światłem jest Objawienie. Rozumem posilkuje się teologia jako narzędziem interpretacji prawd, zawartych w dogmatach wiary, a nie dla ich dochodzenia i formułowania. Tym więc różni się zasadniczo od wszystkich innych nauk. Podczas gdy teologia wycho-

dzi z prawd, danych „odgórnie” w Objawieniu, podstawy filozofii leżą po stronie człowieka: mianowicie w prawdach oczywistych rozumu ludzkiego. Dla filozofa (z tego punktu widzenia) najwyższą pewność stanowi bezpośrednia oczywistość. Dzięki poznaniu wszechrzeczy przez pierwsze przyczyny, filozofia w ujęciu chrześcijańskim spełnia wobec innych nauk rolę ich zewnętrznego moderatora⁵⁾. Pełni ją przez sądzenie innych nauk pod względem ich prawdziwości, oraz przez kierowanie nimi (łączenie, grupowanie i klasyfikowanie). Filozofia wreszcie broni pewnych niewzruszonych zasad wszystkich innych nauk (a także i swoich własnych).

Ta niejako „dwutorowość” teologiczno-filozoficzna, daje rzekomą antynomię między wiedzą (nauką) i wiarą (Objawieniem). Otóż z punktu widzenia katolickiego antynomia ta jest tylko pozorna. Objawienie zawiera prawdy, które dla rozumu ludzkiego, pozostawionego samemu sobie, są albo do osiągnięcia niemożliwe, albo bardzo trudne; nie znaczy to jednak, by miały one być z prawdami rozumu ludzkiego sprzeczne. Wprost przeciwnie, prawdy objawione są dla ułomnej i ograniczonej wiedzy czysto ludzkiej rozbudową i uzupełnieniem, a nie jej ograniczeniem i zaprzeczeniem. Teologia rozwojem innych nauk nie hamuje, a tylko, wobec nadprzyrodzonego pochodzenia swych zasad i absolutnej pewności Naczelnego Autorytetu, stanowi ich normę negatywną. Wszystkie nauki chroni od zбочenia z drogi prawdy światła tej normy, pozwalając jako faszywe odrzucić wszystko, co się z nią nie zgadza. Zarazem teologia korzysta z pewników filozofii, nadaje im mocą swego autorytetu najwyższą pewność i używa ich jako swych narzędzi.

Taka najbardziej ogólna podstawa doktrynalna katolicyzmu daje nam metodę, umożliwiającą kwalifikowanie katolickości nauki

IV.

Skoro rozważamy jakąś naukę, trzeba mieć na uwadze zasadnicze aspekty: celu (zadania) nauki, jej przedmiotu i metody. Dalsza sprawa, a to zależność tych charakterystycznych nauk momentów od światopoglądu katolickiego, winna nas doprowadzić do poszukiwanej definicji nauki katolickiej. W zakresie tego szkicu można ją oczywiście potraktować tylko ramowo, w kilku nasświetlających rzutach.

Poza tym trudno tutaj wyodrębnić punkt widzenia normy pozytywnej i negatywnej. Obydwa te aspekty tak się ze sobą integralnie łączą i zacierają, że rozpatrywanie ich we wzajemnym oderwaniu od siebie dałoby nam konstrukcję sztuczną i oderwaną od prawdy życia.

Celem nauki najogólniej pojętym, jest służba ludzkości, prowadzona na trzech odcinkach:

- 1) Poznania rzeczywistości i osiągnięcia poglądu na świat;
- 2) Wskazywania pewnego stanu jako celu do osiągnięcia;
- 3) Wskazywania środków do osiągnięcia celu.

Z pośród nauk teoretycznych (obiektywno-poznawczych), nauki idiograficzne nie stoją właściwie w żadnym specyficznym stosunku do nauki Kościoła: rzeczywistość jest jedna i jednakowo ujmie ją każdy, niezależnie od swego światopoglądu,

jeżeli oczywiście zachowa warunek uczciwej i dokładnej obserwacji.

Natomiast formułowanie sądów nomotetycznych z dawien dawna obciążone jest stosunkiem wiary i rozumu i ich walki o prymat. W mentalności współczesnej głęboko na ogół zakorzeniona jest wiara w rozum, narastająca od renesansowego humanizmu przez racjonalizm Oświecenia i rewolucję naukowo-techniczną, datującą się od ubiegłego stulecia.

Wiara ta nie usposabia pewnego siebie i dumnego ze swych zdobyczy człowieka do przyjmowania jakichkolwiek prawd, danych „z zewnątrz” „z góry”, nie zdobywanych i ustalanych w procesach intelektu.

Nierzadko znów, kiedy intelekt ów staje na granicy poznania i uświadamia sobie własną niedoskonałość, skłonniejszy bywa raczej do pesymistycznego relatywizmu, ciastnego doktrynerstwa, albo ucieka w dziedzinę „drugiej prawdy”, przeróżnych mitów.

Uznanie wszelkiej prawdy za wyraz grupy społecznej prowadzi do relatywizmu, albo — stanowisko przeciwstawne — absolutyzmu, wysuwającego własną lokalną prawdę jako jedyną obowiązującą.

Stanowisko katolickie przyjmuje inną drogę wyjścia, drogę tzw. relacjonizmu⁶⁾: „Tylko prawda sama jest absolutna; wiedza ludzka jest zawsze względna; raczej odnosi się do prawdy, niż ją wyraża”. Nasze podejście do nauki formuje taką wizję prawdy, widzianej a niedościgłej. Skoro teraz przyjeliśmy stanowisko katolickie dla siebie, tzn. że jesteśmy katolikami; skoro uznajemy prawdy, oparte najwyższym autorytetem Objawienia, uznanie prymatu ich nad rozumem jest oczywistą tego konsekwencją. Dogmaty wiary naszej stanowią sprawdzian i kontrolę nauki — nie na odwrót.

Nauki praktyczne (normatywne i teleologiczne), oparte na zdobyciach nauk teoretycznych, same kontrolowane są przez etykę, z którą muszą być zgodne wskazywane przez nie cele i drogi, do nich wiodące. Ten punkt widzenia dziś, w epoce narastania powszechnego, ponadpaństwowego kodeksu praw, nikt już chyba nie zdziwi.

Skupienie uwagi na normach pozytywnych, inspirujących, przenosi nas na teren przedmiotu nauki: są przedmioty, zakresy materiału, z doktryną katolicką mniej lub więcej integralnie związane. Nie można tutaj jednak przeprowadzać rozgraniczenia zagadnień „katolickich” i „niekatolickich”. Katolicki znaczy — powszechny. Jest to światopogląd, nie pozostawiający poza swymi ramami żadnej części rzeczywistości. Każda gałąź nauki styka się żywo z doktryną katolicką. Oprócz więc nauk ściśle „religijnych” (np. dogmatyka i etyka szczegółowa) istnieją grupy problemów, z istoty swej wymagające rozwiązania „w duchu” pewnego światopoglądu, w tym wypadku — dla nas — katolickiego. Rzeczywistość społeczna i jej aktualne potrzeby zmuszają nas do dokonywania wyboru, rzucając niejako na nasz warsztat palące zagadnienia do rozpracowania. Uwypukla się to zwłaszcza w odniesieniu do nauk politycznych, społecznych i ekonomicznych. Katolickie podejście do nich zawiera prócz norm negatywnych — wskazania pozytywne, in-

spirujące. (Np. w koncepcji personalizmu, dążącego do rozwiązania w duchu katolickim kwestii stosunku jednostki do zbiorowości: Rozwiązanie to ma być osiągnięte przy wykluczeniu zarówno anarchistycznego indywidualizmu, jak też omni-potencji państwa nad jednostką. Wyrabi się znalezieniem pewnego, dostosowanego każdorazowo do zmiennej rzeczywistości optimum rozwoju tak jednostki, jak zbiorowości.⁷⁾

Rozpatrując korelacje nauki ze światopoglądem — w tym wypadku katolickim, — nie możemy pominąć problemu metod badawczych nauk empirycznych. Procesy niemieckich „naukowców” z obozów koncentracyjnych unaocznily nam niezaprzeczalnie, że metoda musi być kontrolowana przez etykę.⁸⁾

Etyka określa granice eksperymentu np. w medycynie, psychologii, pedagogice itd. W naukach społecznych eksperyment sensu stricto, tj. sztuczne wywoływanie zjawiska wyłącznie w celach poznawczych, jest w większości wypadków w ogóle nie do pomyslenia

V.

Powyższe zestawienie jest bardzo daleko idącą symplifikacją przedmiotu, i stanowi tylko ogólny szkic sprawy trudnej i zawilej. Dla celów dyskusyjnych jednak można się pokusić o wyciągnięcie z niego konsekwencji. Będzie to próba ustalenia definicji nauki katolickiej. Oczywiście wyrazić ją tu można tylko w formie pewnej propozycji:

1) W zakresie najszerszym nauką katolicką można by nazwać naukę, której założenie wyjściowe i wyniki zgodne są z zasadami wiary, a stosowane metody nie przekraczają norm etyki katolickiej.

2) W zakresie węższym nauką katolicką będzie nauka, która, odpowiadając wspomnianym wymaganiom, za przedmiot swój odbiera zagadnienia:

- a) z istoty swej wiążące się z doktryną Kościoła (teologiczne, dogmatyczne, etyczne);
- b) skutkiem aktualnych potrzeb społecznych wymagające rozwiązania w duchu pewnego światopoglądu — (w danym wypadku — katolickiego).

UWAGI:

1) por. John D. Bernal „Transformation in Science” (The Scientific Monthly, 1945, LXI, 12) tłum. „Nauka i przeznaczenie człowieka” (Życie Nauki, II/9—10);

2) por. Stefan Oświecimski: „O społeczny typ uczonego” (Życie Nauki II/9—10);

3) L. Jaxa-Bykowski: „Obiektywizm i tendencyjność w nauce i nauczaniu” (Życie Nauki IV/19—20);

4) por. ks. Zychliński: wstęp do przekładu polskiego ED. Hugon: „Zasady Filozofii”

5) por. j. w.

6) por. Bogdan Suchodolski: „Podstawy i zadania nauki” („Życie Nauki” I/3);

7) por. Jerzy Turowicz: „Katolicyzm i radykalizm” („Znak” II/4)

8) por. L. Jaxa-Bykowski j. w.

Adam Pankowicz

Zygmunt Lichniak

Recenzja z niewydanego tomu

Rzadko się zdarza, aby z mnóstwa tomików, czekających na warsztacie opracowania krytycznego, wyłuskać tom, który daje radość kontaktu z prawdziwym, rzetelnym talentem poetyckim. Tym charakterystyczniejszą wyrazistością nabiera fakt, że w natłoku pracy recenzentkiej chwil radoznego rozczarowania i ciekawego przeżycia dostarczył to mił dotychczas niewydany, dotychczas czekający na wydawcę i czytelników.

Jest nim zbiór wierszy Macieja Józefa Kononowicza pt. „Wojna i niepokój”. Czytelnicy prasy katolickiej mieli okazję poznać wszystkie, zawarte w tym tomie utwory, że szpał tygodników i dzienników. Nawet w rozproszeniu, zagubione wśród dziennikarskich notatek i publicystycznych artykułów, zwracały one uwagę swoim głębokim liryzmem, ważkim przeżyciem treści i krystalizującymi się coraz bardziej wartościami formalnymi.

Zsumowanie kilkuletniego dorobku poety w ramach projektowanego tomu pozwala na wyraźniejsze sformułowanie wrażeń i skonkretyzowanie osądu krytycznego.

Trzydziestu niespełna wierszy wystarczyło, aby ukazać nam Kononowicza jako liryka czystej wody. Liryzm jego czerpie swą niepospólną siłę ze źródeł wzruszeń patriotycznych i religijnych.

Lirykę patriotyczną, poważnie zdyskredytowaną niefortunnymi ojraniem - bohaterскими wierszami mianą tradycji literackiej, rehabilituje Kononowicz bezpośredniością swojego patosu, pozornym prymitywizmem, przekonywującą szczerością i prawdą przeżycia. Nie przychodzi mu to bez trudu i ofiar. Gdy w wierszu „Szyfry o ojczyźnie” czytamy pointę ze zbyteczną kropką nad i:

„...zamknąć można to w słowo,
którego zakres i treść
Życie moje: walka i pieśń
Polska”.

— Łatwo odczuć wpływ dklowej trochej manery, trochę nieudolne kopiowanie niezrównanego w takim rodzaju lirycznym Broniewskiego, czy nawet echa jęszcepojskich wierszy Słoińskiego. Podobnie „Granie”, czy „Wizyta na obczyźnie” nie ustrzegły się posmaczku starożytności, lekko zjęczalej krzepy papierowych wzruszeń, patriotyzmu w stylu pocztówkowych oleodruczków „wystawiających chwałę raclawicką”. Ale już w innych wierszach, jak np. w wierszu pt. „Warszawa 1944”, otrząsa się autor z tych słabości i znajduje własny, nowy, nie zależny i głęboko poetycki wyraz.

Dmuchał w piszczałki drewniane,
Dmuchał w wierzbowe fujarki,
Aż im serca z wysiłku pękały,
Aż im krew biła przez śpiewne
wargi —

Oj, dylu, dylu, na badylu,
Krew biła przez śpiewne wargi.

Chłali zatrutą wodę,
I żarli kocie mięso,
Padali w asfalt twarz,
Śmierć — krzycząc — lub

zwycięstwo!
Oj, dylu, dylu, na badylu,
Patetycznie: „Zwycięstwo”.

Aż żal po takim wierszu i wierszach jeszcze lepszych, jak „Kieszonkowa mogiła”, „Nasza jesień”, czy „Harmonista”, czytać słabiutkie, źle wystylizowane historyjki jak „Powrót żołnierza”, który niósł „Kwi kropelkę, by ją... oddać Polsce”, lub jak inwokacja „Do Matki-Polki”, mającej „prawo płakać”.

Z zestawienia wierszy słabych i silnych, własnych i kopiowanych, ze zdobywanej wielkim trudem wagi i panowania nad tworzywem

poetyckim widać u Kononowicza siłę, dzięki której, nie rezygnując z walki przeciw trudnościom szablonu, ulegając czasami w tych starciach, dąży ku własnej, naprawdę wartościowej liryce patriotycznej.

Liryka religijna, często zresztą splatająca się z wątkami tematyki patriotycznej, szybciej doprowadziła poetę do źródeł jego indywidualności, łatwiej pozwoliła mu wypowiedzieć się we własny, trafniejszy i głębszy sposób. Może dlatego nurt religijny poezji Kononowicza wydaje się czymś zasadniczym w jego twórczości, stanowi dominantę uczuciową najlepszych jego wierszy, a podwaliną wszystkich chyba pozycji, niezależnie od ich tematyki. W okresie, kiedy liryka w ogóle, a religijna w szczególności, przeżywa okres zdecydowanego kryzysu, zjawisko to nabiera specjalnych cech unikatów, walorów oryginalności i siły. Tym bardziej, że wiersze religijne Kononowicza dalekie są od wszelkiego konwencjonalizmu dewocyjnego, nawet nie ocierają się o psalmiczno - modelitewny szablon, ustalony dla takiego typu poezji przez tradycję literacką poprzedniego okresu.

Jeden przykład, wiersz pt. „I. N. R. J.”:

Świst bicza — pręga na twarzy —
Usta blade — usta drzące —
Świst bicza — niech krew się
pokaże —

Prędzej!

Słyszysz!!

Ja każe!!

Świst bicza — nitka czerwieni —
Niech się rozszerzy w wstęgę
rzczną!

Świst bicza —
Mało!

Aż się zapieni,

Aż się falą rozhuśta rytmiczną!

Świst bicza — może... dosyć?

(Nie rozpoznać czerwonej miazgi.)

Świst bicza — bo dłaczego oczy

ciągle płoną, płoną jak gwiazdy...

Bo dłaczego są jak oczy dziecka,

czemu nie krzyczą buhitem i

rozpaczą,

czemu ciągle smugą niebieską

grozą: przebaczam... przebaczam...

Jasno widać, że prawdę poetycką tego utworu stoczyła prawda przeżycia, że jest to głęboka poezja uczuć, zharmonizowanie nowej treści z nową, oryginalną formą. Ile kroć poeta dociera do najintymniejszych treści religijnych zawsze potrafi znaleźć właściwy dla nich kształt, choćby pozornie była nim stereotypowa forma czterowersza, jak w utworze pt. „Grudzień miasta”. Specyficznego mroku lirycy religijnej Kononowicza dodaje jej głęboki nurt refleksyjny. Refleksje te pobrzmiwają, co prawda, echemi mickiewiczowsko - kasprowiczowskich „Zwad z Bogiem”, ale w kontekście Kononowicza, przepojo

nym prawdziwym uczuciem, stanowią jego odrębną i niezaprzeczną własność.

Oprócz liryki religijnej i patriotycznej znaleźć można w zbiorze „Wojna i niepokój” doskonale wiersze liryki bardziej osobistej, chciałoby się powiedzieć: rodzinnej, najbezpieczniej kononowiczowskiej! Takie pozycje jak „List”, „Kołysanka”, czy „Blżej...” stanowią bardzo sugestywne, pełne ekspresji wyznania uczuć niebiałych, bardzo ludzkich i — ogólnoludzkich zarazem. Umiejętność podnoszenia osobistej spowiedzi do rangi ogólnoludzkich radości i cierpienia to poważny walor liryki. Chciałoby się tu wszystkie przykładowo tytułami tylko wspomniane wiersze przytoczyć w całości, aby nie zmuszać czytelnika do wnioskowania pośredniego, do poznawania wartości niejako z drugiej ręki. Trudności te usunie wydanie tomu drukiem. Dzisiaj spróbujemy wsluchać się choćby w rytm przemilej „Kołysanki”:

Kołysały się morza dalekie,
Kołysały się lasy ogromne,
Nachylały się olehy nad wodą,
Nachylały się sny do zapomnień.

Kołysały się chmury na niebie,
Kołysały się łyż pod powieką —
(Tak mi smutno, mój synku, bez
ciebie
I tak bardzo do ciebie daleko).

Kołysały się trawy i zboże
(Nie widziałem cię nigdy, maleńki)
Kołysały się gwiazdy w jeziorze
(Nie wiesz, synku, co to znaczy
tęsknić)

Korzystając z ostatniego przykładu, warto zwrócić uwagę na naczelny rygor poetycki, organizujący twórczość Kononowicza. Jest nim muzyczność. Jak treść wielu utworów, tak i ich metodyka nie zawsze potrafi się wyzwolić od utartego i nudnego szablonu. Ze zjawiskiem ulegania jego natrętnym motywom mamy trochę do czynienia w wierszach typu „Kołysanki”. Ale i tu poeta znaleźć potrafi własną melodię (jak w „Wizycie na obczyźnie” czy „Harmonia”) prawdziwie subtelną i wdzięczną.

Z jakimi więc ostatecznymi wnioskami zamyka się „Wojnę i niepokój”? Przede wszystkim z tym, że należy zbiorce jak najszybciej wydać. Zasługuje na to całkowicie. Przynosi bowiem wiele pozycji ciekawych i wartościowych. Reprezentuje rzetelny wysiłek twórczy. Zdania krytyki, która będzie mogła coś o tym wysiłku powiedzieć po ukazaniu się wierszy w książce, pomogą Kononowiczowi w doświadczeniu zamierzonych celów, ku którym dąży teraz samotny z ambicją i zaciętością godną uznania.

Zygmunt Lichniak

Z zagadnień gospodarczych

Czy warto naśladować

Nowa Zelandia... Trudno chyba o mniej aktualny temat, gdyż nie nas dosłownie nie łączy z położonymi w pobliżu północnych wybrzeży Australii dwoma maleńkimi wyspami, które tworzą Nową Zelandię.

Zdyscyplinowani Nowozelandczycy mogą się chlubić poważnymi osiągnięciami dokonanymi w ciągu ostatnich 107 lat, tj. od chwili rozpoczęcia kolonizacji. Nowa Zelandia należy dzisiaj do krajów, które posiadają najwyższą kulturę materialną. Co piąty mieszkaniec kraju posiada samochód, 85% — aparaty radiowe, blisko 93% domów mieszkalnych jest zelektryfikowanych.

Rozwój gospodarczy Nowej Zelandii opiera się w dużym stopniu na przetwórstwie mleczarskim. Dzięki rolnictwu nastawionemu na hodowlę owiec i bydła. Nowa Zelandia jest jednym z głównych światowych eksporterów masła i mleka. Nowocześnie wyposażony po większej części spółdzielczy przemysł mleczarski jest pod ścisłą kontrolą państwa. W ręku państwa począwszy od 1936 r. znajduje się również zbyt jak i ustalanie ceny produktów mleczarskich. Współdziałaniu państwa w kształtowaniu się produkcji i cen należy bezsprzecznie przypisać stosunkowo łagodne przeżycie kryzysu w latach poprzedzających drugą wojnę światową.

Prawdopodobnie ze względu na oddalenie od centralnych nerwów świata małą ilość mieszkańców, jak i też ze względu na samą genezę powstania państwa Nowo - Zelandzkiego kultura intelektualna nie nadąża za materialnym rozwojem kraju. Trudno natomiast spotkać społeczeństwo, które by interesowało się bardziej od Nowo - Zelandczyków dziedziną polityki gospodarczej. Sprawy finansowe, handlowe, rozwoju przemysłu są punktem centralnym powszechnego zainteresowania i dyskusji. Kto wie, może to właśnie zainteresowanie całego społeczeństwa

ogólno - krajowymi problemami gospodarczymi przyczyniło się do dużych osiągnięć na drodze do sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego. Postępowość jest cechą charakterystyczną dla Nowej Zelandii. Dążenie do poprawy warunków pracy i egzystencji wszystkich mieszkańców stawiane jest już od dawna jako główny cel rządów Nowej Zelandii. Co więcej cel ten jest systematycznie realizowany.

Już w 1898 r. wprowadzono rentę na starość, a w 1894 prawo arbitrażu w przemyśle. Główny jednak postęp miał miejsce począwszy od 1935 r. (z chwilą dojścia do władzy rządów laburzystowskich). Zasadniczą reformą tego rządu było przeprowadzenie takiej redystrybucji dochodu społecznego, która umożliwiłaby zwiększenie świadczeń państwa na rzecz obywateli w postaci usług zdrowotnych i systemu ubezpieczeń. Uzyskanie potrzebnych źródeł dochodu ubezpieczeń społecznych nie obciąża jedynie ubezpieczonych lecz całe społeczeństwo i w drodze opodatkowania na ten cel wszystkich dochodów indywidualnych.

Z funduszu ubezpieczeń społecznych pokrywane są głównie świadczenia tytułem rent na wypadek choroby, świadczenia rodzinne (które mogą wynieść 10 £ rocznie), oraz rent na starość. Te ostatnie wypłacane są wszystkim osobom liczącym ponad 60 lat, bez względu na ich sytuację majątkową. Wpłaty z tytułu renty na starość wynoszące w 1940 roku — 10 £ rocznie mają wzrastać rocznie po 2,5 £ aż do osiągnięcia maksymalnej kwoty zasiłku 105 £ w 1978 r. Już w kwietniu 1947 r. 3,5% ogółu ludności otrzymało takie zasiłki w wysokości 27,5 £ rocznie.

System zasiłków szpitalnych przewiduje pokrycie kosztów utrzymania chorych zarówno w publicznych jak i w prywatnych szpitalach i klinikach. W obu wypadkach wysokość zasiłków jest jednolita

Najbardziej jednak rewolucyjną reformą była przeprowadzona „nacionalizacja medycyny” innymi słowy regulowanie przez państwo należności za usługi lekarskie. Żaden Nowozelandczyk nie jest od tej chwili zobowiązany opłacać lekarzy, którzy otrzymują jednolite honorarium od państwa. Lekarze pogodzili się z tym prawem, aczkolwiek nie bez długotrwałych sprzeciwów. Opozycja przeciw nacionalizacji medycyny szermowała bowiem poglądem, że nowy system nie uwzględni w dostatecznej mierze usług specjalistów, co hamować będzie prace badawcze nad rozwojem medycyny, oraz że społeczeństwo nadużywać będzie przyznanego mu prawa. Program opieki zdrowotnej obejmuje również zasiłki macierzyńskie oraz przyznaje bezpłatne usługi stomatologiczne dla dzieci i młodzieży.

Mała ilość mieszkańców, oraz wysoki poziom zamożności ułatwiają bezsprzecznie przeprowadzenie tylu postępowych reform. Nie należy jednak przeceniać roli tego ostatniego

czynnika. Decyduje on bowiem nie tyle o przyjęciu samej zasady jak o efektywnych rozmiarach świadczeń finansowych.

Postępowość społeczeństwa Nowozelandczyków może być wzorem dla wszystkich — a jest ich i u nas niemało niestety — którzy nie wykazują dostatecznego zrozumienia dla konieczności zapewnienia ogółowi ludności tego samego stopnia bezpieczeństwa socjalnego. Dlatego też z jednakowym naciskiem trzeba postulować realne zwiększenie świadczeń na cele opieki społecznej ze strony państwa, jak i zrozumienie przez ogół konieczności poświęceń w formie obciążenia na ten cel indywidualnych dochodów. Istota poświęceń musi być zrozumiana w szczególności przez świat lekarski, którego nastawienie decyduje o zwiększeniu opieki zdrowotnej nad całą ludnością kraju.

Sprawiedliwość społeczna nie jest do pomyślenia bez tego rodzaju poświęceń, gdyż byłaby wtedy jedynie czczą frazeologią. (K)

W dniu 20 lipca o godz. 9-ej odbędzie się w kościele na Bródnie

NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE

za dusze poległych żołnierzy A. K. Oddziałów „Uderzenia”
Konfederacji Narodu

„Kźemienia - Łosia” Kpt. — Grądzkiego Czesława.
„Zbika - Orlicza” — ppr. odz. Krzyżem Walecznych —
Radzikowski Leszka. „Barbary” — Łączniczki — Karp-
piukówny Barbary. „Białka” — Kpr. Pdch. „Siwka” —
Szer. „Marsa” — Sierz. pdch. „Jurandowicza” — Plut.
Grądzkiego. „Pasażera” — szer. „Szarego” — Kpr. Iwa-
nowskiego Edwarda „Szatana”.

O czym zawiadamiają

KOLEDZY

W kraju

J. Bühler skazany został na karę śmierci. Najwyższy Trybunał Narodowy pod przewodnictwem dr Eimera wydał w dniu 10 b. m. wyrok skazujący Józefa Bühlera, zastępcę b. gubernatora Franka i b. szefa Rządu GG, na karę śmierci i utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek całego mienia.

W szczegółowym uzasadnieniu wyroku N. T. N. uznał oskarżonego winnym zbrodni pokojowi i przeciwko ludzkości.

**

WYJAZD

J. EM. KS. METROPOLITY
KARDYNAŁA ADAMA SAPIEHY
DO RZYMU

W dniu 8 bm. opuścił Kraków, udając się do Rzymu, Książe Metropolita Krakowski Adam Kardynał Sapieha.

**

W Warszawie odbyła się Konferencja Międzynarodowego Funduszu Pomocy Dzieciom (UNICEF) z udziałem licznych delegatów zagranicznych.

W dniach 6 i 7 lipca obradowało w Warszawie plenum KCPPR. Tematem była sytuacja w Partii Komunistycznej Jugosławii oraz omówienie podstaw ideologicznych przyszłej Zjednoczonej partii robotniczej w Polsce.

Wygłoszono referaty: Aleksander Zawadzki — referat wygłoszony w imieniu delegacji PPR na ostatniej sesji Biura Informacyjnego w Bukareszcie, wicemin. Spychalski mówił, o tradycjach Zjednoczonej Klasy Robotniczej, wicemin. Bermań „O dorobku ideologicznym PPR i zadaniach partii w przededniu Zjednoczenia”, oraz min. Miño „O wtyczkach w sprawie ustroju gospodarczego”.

Na zakończenie obrad wygłoszone zostały dwa komunikaty.

Plenum Komitetu Centralnego PPR po wysłuchaniu sprawozdania złożonego przez tow. Zawadzkiego w imieniu delegacji PPR na sesję Biura Informacyjnego Partii Komunistycznej i Robotniczych całkowicie solidaryzuje się z uchwałami Biura Informacyjnego w sprawie sytuacji w Partii Komunistycznej Jugosławii.

Plenum KC PPR zatwierdza wycytowane, zawarte w przedłożonych przez Biuro Polityczne referatach o podstawach ideologicznych przyszłej zjednoczonej partii robotniczej i poleca Biuru Politycznemu, w oparciu o te wycytowane, przedyskutowanie i uzgodnienie z kierownictwem PPS, deklaracji programowej zjednoczonej partii”.

Zniwa

W sobotę 10 lipca w całym kraju rozpoczęły się żytne żniwa.

Mimo długotrwałych deszczów zbiory zapowiadają się dobrze. Będzie to pierwszy rok po wojnie, w którym Polska nie będzie zmuszona do importu zboża, prawdopodobnie nawet niektóre produkty rolne zaczniemy już eksploatować.

Nowość

Jan Dobraczyński
„WYBRĄNCY
GWIAZD”
powieść

str. 304 zł. 800.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Hanna Malewska

Kardynał Yuang-Czeng

(fragment powieści z drugiej połowy XX wieku)

W przedsionku domu, który z zewnątrz wydawał się zupełnie zwyczajny, ale tu już nasuwał podejrzenie (może to ta mała o zapachu świeżej słomy ryżowej?), że wewnątrz jest zupełnie odmienny od wszystkich domów Manhattanu — stał człowiek, który prawie nie pamiętał już swego prawdziwego nazwiska. A w tej chwili miał na sobie długą czarną suknię, w której czuł się nieswojo. Była to suknia duchowna. Trochę już podniszczona. Nadal jednak najbardziej obca ze skór, jakie przywdziewał.

Ostatecznie jednak, myślał, czyż i on nie wyrzekł się wszystkiego, tak jak oni, jak niektórzy z nich — aż do imienia? Czyż nie był tułaczem w świecie, pielgrzymem wpatrzonym w cel niewidzialny dla otoczenia? Pielgrzymem czasem wątpiącym o sobie — a nigdy o celu. Potrzebował morfiny i deksterowalidu: tamci za to potrzebowali modlitwy i sakramentów. Szybkiem, nieznanym ruchem, do którego nawiązał wykił, wpuścił do ust jeszcze jedną pastylkę.

Potem zadzwonił. Otworzono. Gdyby nie to, że znał doskonale tego, kto mu otworzył (a nauczył się kłedyś dobrze nie mylić chińskich twarzy), nie byłby uwierzył, że ma przed sobą głośniego — i potężnego — kardynała Yuang-Czenga. Który, okazuje się, sam u siebie otwiera drzwi. Schylając się nisko, wyciągnął w milczeniu bilet Gernoz'a. Mały, suchy człowieczek w luźnej sukni chińskiej przeczytał go z uprzejmym spokojem, otwierając jednocześnie drzwi przed gościem. Gdy ten wzdragał się stanowiąc wejść pierwszy, kardynał zasmucił się. „Pater humiliatus” pojął swoje niewyrobienie i uległ posłuchał.

Znaleźli się w pokoju urządzonym po chińsku: jak pracownia ubogiego i uczonego Chińczyka. Gość padł twarzą na matę i powiedział: — Taka tylko postawa przystoi mi w obecności najczcigodniejszego Ojca, bo zgrzeszyłem.

Kardynał ukląkł na macie obok i przeżegnał go. — Imię twoje i strój wskazują mi, mój czcigodny bracie, że jesteś z tych, którzy powrócili. Ze więc należy ci się w domu Ojca pierścień i biesiada. Pozwól, że rozuję cię, żeby wypoczęły twoje nogi zmęczone drogą.

— Dostojny ojcie, mądrość i świętość dyktuje każde twoje słowo, ale nie zawstydzaj mnie więcej.

— Bracie mój starszy, cóż to wyrzekły usta twoje? Obyś się nie zawiódł, sądząc, że stróże owczarni stoją już tam, gdzie miłosierdzie Boże doprowadzać zwykło przedź małych i niedostrzeganych.

Kłęczeli teraz naprzeciw siebie na matach, na sposób chiński, i przybysz spojrział w twarz kardynała: tak, były w niej naprawdę te dziwne bardzo rzeczy — cześć dla nieznanego człowieka; ufność braterska w jego dobre zamiary; tkliwość dla jego siwych włosów i nóg zdrożonych.

Znów pochylił się nisko i wyszeptał: — Czy wolno mi, ojcie, z lichej i miłej pamięci wydobyc słowa twego, ojcie, narodu: „Największa właśnie mądrość podobna jest głupstwu, tak jak największa wymowa bełkotaniu”.

— O bracie mój miły — ręce kardynała rozłożyły się na chwilę i głos podniósł się o ton. — Któż to cię uczył francuszczyńską mądrości chińskich filozofów i poetów?

— Zdaje mi się teraz, że znam twój twarz?..

— Mandżuria — szepnął gość. — Zygryd — odszepnął kardynał. —

Zygryd Wang I ty, mój bracie, niezawodnie poznałeś mnie?

Stalowe oczy niemieckiego żołnierza patrzyły ostrożnie ale bacznie: w rysach kardynała odnajdywał wprawdzie rysy męża stanu, ważącego niegdyś losy wojny i kraju w tych suchych artystycznych rękach; zresztą i imię kardynała było tym samym, głośnie, kiedyś w Azji imieniem; ale rysy owe nie odzwierciedliły w tej chwili nic z cieniów i blasków minionej burzy. Nie błysnęła dumna szparami oczu, gorycz nie zacisnęła ust.

— Zygryd Wang, jakże, pamiętam. Byłeś wśród tych „panów wojny”, którzy podnosili wciąż nowe armie z niczego. I z którymi walczyłem.

— Ale byłem może najmędrszy z generałów-kondotierów, jak ty, ojcie, z mandarynów-ministrów.

— Nie była to jednak mądrość odwrotna w stosunku do tej, o której mówił św. Franciszek i Lao-Tse, i ty, bracie, przed chwilą? Po wierzchu piękny pergamin, a wewnątrz osieć.

Zygryd Wang padł znów twarzą na matę — ukrywając swoje zbyt mało odmierzone oczy „pana wojny” i oficera SS. — Zmieniło się bardzo wiele w nas obu — wyszeptał.

— Chrystus nareszcie wszedł... drzwiami zamkniętymi. Któż z nas, zakamieniałych głupców, otwiera kiedykolwiek drzwi na porę?

I czy uwierzysz, mój bracie? Ja, któremu niegdyś, bardzo niestannie, dano wysoki stopień Biegłego w Księgach Klasycznych — wtedy dopiero zrozumiałem tę łagodną mądrość Tao, która nas zapewnia, że ocean dlatego pije ze wszystkich wód, ponieważ legł najniższe.

— Mój ojcie. A jednak dzisiaj skierowała mnie do ciebie Opatrzność, żeby twoja pokora chrześcijańska i Tao nie przeszkodziły ci — tak, nie waham się przed tym słowem: ratować świata. — Zdanie to padło ciche i mierzone jak wszystkie poprzednie, i tylko pewien pośpiech w jego rozpoczęciu świadczył, że gość nie przyszedł mówić o filozofii.

Zygryd Wang siedział teraz sztywno, opuszczeniem powiek jedynie dając wyraz pokorze. Padło słowo Opatrzność. I chciał, by w pełni wybrzmiało. Przez powieki wyczuł przenikliwe spojrzenie kardynała: jednak pozostało w nim coś chyba z premiera Yuang-Czenga, tamten również miał zwyczaj milknąć i patrzeć.

— Wracam z bardzo szerokiej areny świata i z otchłani doświadczeń. Błagam pokornie o danie wiary moim słowom. Jest bardzo źle, emincjo. Świat zdegenerowany stanął na krawędzi ostatecznej zagłady. Wypowiadam sąd w pełni świadomości jego znaczenia: przybliżyło się królestwo Antychrysta.

Kardynał milczał długą chwilę. Nie patrzył teraz, lecz zdawał się modlić.

— Bracie mój — przemówił wreszcie. — Czy mądrość twoja zważyła także, ile to razy spodziewano się już Antychrysta? A to dlatego, że najokropniejsze, masowe i wymyślne zbrodnie przerażały sprawiedliwych nieomal w każdym stuleciu. Obok nich zaś nieprzeliczone plagi i przesady — z których dzisiaj niemało, chwala Bogu, przewyciężono. Najbardziej niebezpieczne zbrodnie powstawały już nieomal w zasięgu głosu Pana Naszego. Zbawiciela. A zaś wspaniałe cnoty krzewią się dziś w przeróżnych zakąt-

kach świata równie hojnie jak kiedy bądź. Dziesięć Tysięcy Rzeczy Stworzonych trwa i opowiada chwałę Pańska.

Zygryd Wang otworzył i zamknął usta: zaledwie się powstrzymał, aby nie przerwać kardynałowi — jak ten, który za nic nie chce zejść z obranej drogi — ale dlatego też odpowiedział nie zaraz. Kiedy zaczął mówić, mówił jednym tchem: — Dziś świat jest zjednoczony i stąd dwie groźby: cały od razu może znaleźć się w ręku nieprzyjaciół krzyżaków. Ci, którzy dzisiaj rządzą — zniżył głos do szeptu — przecież w większości nie są przyjaciółmi Pańskimi... A po wtóre: może zginąć w jednym mgnieniu — wiemy. Któż upilnuje władców, skoro zechcą nas zgubić? Chrystus powiedział: nie przyniosłem pokoju ale miecz. Mam przeświadczenie, mam — śmiem rzec — natchnienie od Boga, że jesteśmy dziś obowiązani walczyć wszystkimi dostępnymi środkami.

— Pamiętajmy bracie, że Chrystus powiedział także: jeżeli sól zwietrzeje, czym solona będzie? Niegodni, głupi, słabi, jesteśmy jednak my, chrześcijanie — łatwo wietrzejąca lecz niezbędna sól. A taż sama mądrość Boża wiożyła niegdyś w usta Mencjusza naszego, że nie słyszano nigdy, ażeby ktoś poprawił Państwo znieprawiając siebie.

— Bolesne to słowo dla mnie: „znieprawiając siebie”...

— Wybacz mi, bracie, niegodnemu prostakowi, który nie umie nawet należycie i w porę przytaczać mędrców. A jednak nie mogę nie przypomnieć jeszcze księgi Ta-Hio: — Najpierw zbadać należy naturę rzeczy. Później udoskonalić swoją wolę. Potem uporządkować swoje pożądanie. Potem zaś myśleć o poprawieniu i uporządkowaniu swojego domu. I nareszcie — Państwa.

— Eminencjo. Kiedy byłem w Państwie Środka, którego mądrość tak harmonijnie w wielu osobach i w wielu księgach zlewa się z mądrością chrześcijańską, słyszałem, że sprawą najważniejszą jest poszanowanie Umarłych. Umarli, którzy walczyli o sprawiedliwość w świecie, czy o cześć swojego narodu, jak i ci, którzy po prostu myśleli o dobrym życiu dla swoich wnuków — umarli, ich wola, są dziś podeptani.

— O mój bracie, nie dostaje nam nade wszystko czi dla nienarodzonych jeszcze. I czi dla żyjących. Ale cześć musi jak drzewo wiekami rosnąć. I szlachetnieć jak wino. — Kardynał trzymał teraz ręce w luźnych rękawach swojej ciemnobłękitnej sukni chińskiej, a wąskie jego oczy zwięzły się jeszcze, jakby wpatrzony w siebie. „Wyrzekł się opium!” wspomniął nagle Zygryd Wang. Wyrzekł się opium! Wiedział, że gdyby w odległym zakątku tego domu palono opium przed tygodniem, wyczułby to swoim węchem narkomana.

— „Obruszajcie się, ale nie grzeszcie”, czytamy, bracie. Wielu nagrzęszyło ciężko chcąc wbrew wyraźnej woli Pana Naszego własnoręcznie wydzierać kłokol z pomiędzy pszenicy.

Kardynał spojrział znowu wprost na gościa. — Pewien mój rodak, żyjący dziś, powiedział: „Aniołowie wierzą mocno w Prawo, zwierzęta wierzą mocno w Się, a tylko ludzkie istoty zdolne są wierzyć, że Siła jest Prawem”.

Twarz Zygryda Wang'a pociemniała, jakby zamknęła się. Milczał

W świecie...

W YDAJE się, że już możemy mówić o praktycznym utworzeniu się państwa zachodnio - niemieckiego. Nie będzie to rzecz jasna „utworzenie się”. — W przeciwieństwie do polityki radzieckiej dążącej do pełnego równouprawnienia DEMOKRATYCZNYCH Niemiec, zawarcia z nimi prawomocnego statutu pokojowego, odwołującej się nawet (jak w sprawie jedności Niemiec) do plebiscytu ludowego — polityka anglosaska w najmniejszym stopniu nie liczy się z interesem narodu niemieckiego ani z jego zdaniem. Będzie to utworzenie na rozkaz Anglosasów państwa zachodnio - niemieckiego, przy czym, ku oburzeniu Niemców, Amerykanie już teraz planują zupełnie dowolny podział administracyjny, gwałcąc tradycyjne granice krajów niemieckich. Jednocześnie ujawnione dalsze szczegóły uchwał konferencji londyńskiej wskazują na poważne przesunięcie terytorialne kosztem Niemiec na rzecz ich zachodnich sąsiadów — Holandii i Belgii. Gen. Clay oświadczył, iż mieszkańcy Saary nie będą uczestniczyć w wyborach do zachodnio - niemieckiego parlamentu, co oznacza, iż Saara zostanie odłączona od Niemiec. Powyższe operacje terytorialne są szczególnie charakterystyczne, gdy się je równocześnie zestawia z wrogą kampanią przeciwko naszej zachodniej granicy — prowadzoną w duchu rewizjonistycznym w Niemczech Zachodnich (przy całkowitej obojętności formalnej (faktycznie zapewne przy poparciu) mocarstw zachodnich; przeciwko tej kampanii misja RP w Berlinie wystosowała protest do Rady Kontroli.

Wobec ratyfikowania przez Francję „planu Marshalla”, a wobec tege likwidacja ostatnich przeszkód natury politycznej, przewiduje się, że 1 sierpnia gen. Koenig ogłosi pełny akces strefy francuskiej do poprzednio złączonych stref brytyjskiej i amerykańskiej. „Trizonia” będzie podstawą, na której w roku przyszłym ma zostać stworzone państwo zachodnio-europejskie.

Tymczasem w Berlinie napięcie „walutowe” jakby łagodnieje, choć może to być tylko cisza przed nową burzą. Anglosasi wycofali częściowo swę zarządzania walutowe — dopuszczając do obiegu w obrębie swych sektorów walutę strefy radzieckiej, ponadto robotnicy stref zachodnich (celem umożliwienia czynienia zakupów i korzystania z urządzeń użyteczności publicznej) o trzymano będą część pensji w markach „zachodnich”, zaś natomiast w „wschodnich”. Magistrat Berlina jeszcze do niedawna bardzo oporny walucie „wschodniej” i uznający pełne równouprawnienie tych walut — obecnie rugowany przyczynami gospodarczymi (trzy sektory Berlina nie mogą mieć odrębnej waluty niż cały kraj leżący dookoła) opowiedział się za jednolitą walutą — „wschodnią” na terenie całego miasta. Zatarg o komunikację między Berlinem a strefami zachodnimi trwa nadal. Amerykanie korzystając z pożądanego „mostu powietrznego” samolotami gorączkowo ewakuują swój sektor z urządzeń przemysłowych, Anglii wywakuowali część swej administracji do Frankfurtu. Rosjanie obiecują uruchomienie komunikacji, gdy tylko zostanie gruntownie odremontowana linia kolejowa Helmsted — Berlin, użyta w czasie jej powojennego intensywnego użytkowania do tego stopnia, iż dalsze korzystanie bez remontu grozi katastrofami. Termin ukończenia prac remontowych trudny jest do przewidzenia. Przed kilku dniami puszczono wyjątkowo jeden pociąg amerykański do Berlina, z pocztą i żywnością. Na Zachodzie oraz w prasie niemieckiej coraz częściej rozważana jest możliwość opuszczenia Berlina przez mocarstwa zachodnie. Wspólna komendantura wojenna Berlina faktycznie już nie istnieje.

WYBORY

W Finlandii ogłoszono wyniki wyborów do parlamentu. Walka wyborcza rozegrała się głównie między socjal - demokratami, reprezentującymi socjalizm centrowy, a unią demokratyczno - ludową grupującą partie bardziej radykalne z komunistyczną na czele. Podział mandatów przedstawia się następująco: socjal - demokraci - 54 mandaty, unią demokratyczno - ludową - 38, agrariusze (umiarkowana partia chłopska) - 56, konserwatyści - 33, Szwedzi - 14, liberalowie - 5. Ostateczne wyniki wyborów do izby holenderskich stanów generalnych przedstawiają się następująco: katolicka partia ludowa - 32 miejsca, partia pracy - 27, partia antyrewolucyjna (kalwini) - 13, unią chrześcijańsko - historyczna - 9, partia wolności - 8, komuniści - 8, reformiści - 2 i katolicki komitet akcji - 1.

TYDZIEŃ KULTURALNY

OBY... OBY...

NOCE NARODOWE

JERZY Borejsza udzielił w ostatnich dniach wywiadu przedstawieliowi socjalistycznej Agencji Prasowej. Wywiad ten stanowi podsumowanie wyników narady kulturalno-oświatowej „Czytelnika”. Ze wszystkich punktów w które dałoby się ująć treść wypowiedzi za najbardziej interesującą chcielibyśmy uznać ostatni który takie znalazł sformułowanie na łamach pras:

„Narada głosami uczestników udowodniła, że czas skończyć ze znachorstwem i mówieniem o pracy kulturalnej w ogóle, że należy rozpocząć naukowe szkolenie i specjalizację kadr.”

Brawo! Oto właśnie chodzi nam wszystkim. Głosy uczestników narady są słuszne. Za nimi stoi opinia wszystkich. Należy rozpocząć „naukowe szkolenie i specjalizację kadr”. Nim jednak doczekamy się rezultatów tej akcji warto pomyśleć by doraźnie do najtrudniejszej pracy organizowania życia kulturalnego powołać wszystkich fachowców.

DZIENNIK literacki, podkreśliłmy to już po raz drugi: jedyną w Polsce pismo poważnie traktujące zagadnienia teatru, rozpoczęło druk w odcinkach nowego dramatu Romana Brandstaettera pt. „Noce narodowe”. Nie będziemy podejmowali tu próby krytyki utworu znanego z trzech scen zaledwie. Chcemy tylko zwrócić uwagę czytelników na tę interesującą pozycję. Po autorze „Powrotu syna marnotrawnego spodziewamy się wiele i dlatego nową jego pracę reklamujemy na kredyt. Najlepszym wprowadzeniem w treść „Nocy narodowych” będzie wymienienie bohaterów dramatu. Występują tu Mickiewicz i Towiański a obok nich: Krasieński, Papież Pius IX, Władysław Hrabia Zamojski i inni.

W związku z osobą autora i z nowym jego utworem zakomunikować możemy Czytelnikom dwie miłe wiadomości:

1. Roman Brandstaetter wrócił do kraju na stałe i został kierownikiem

literackim Teatru Polskiego w Poznaniu (dyr. Wilam Horzyca).

2. Dyr. Bronisław Dąbrowski zapowiada wystawienie „Nocy narodowych” w sezonie 48/49 oczywiście w Krakowie.

KONKURS POLSKIEGO RADIA

OPUBLIKOWANE już zostały wyniki konkursu na nowelę napisaną przez dział literacki Polskiego Radia. Na konkurs nadeszło ponad 4 tysiące prac. Między zgłoszonymi na konkurs utworami znalazło się streszczenie „Krzyżaków”, przepisana nowela Prusa, mordercze opowiadanie o „krwawym Heńku” tudzież kilka historii okrutnie erotycznych (często z ilustracjami). Takie rzeczy zdarzają się w każdym konkursie i temu nie należy się dziwić. Ważniejsze tu są inne sprawy. Jeśli z 4300 prac odrzucimy (a można to sądzić rozpoznając po treści) 3.300 pisanych wyłącznie z myślą o honorarium, to pozostanie pełny tyśiąc świadczący o zainteresowaniu literackich au-

torów. Procent taki byłby idealny. Moglibyśmy mówić, że drzemia wokół nas talenty, które trzeba koniecznie odkryć. Moglibyśmy mówić, że literatura polska może być spokojna o swoją przyszłość. Wyniki konkursu upewniają w tym optymistycznym przekonaniu. Kilkanaście pierwszych nagród to amatorzy — dopiero po nich następuje pierwszy uhonorowany tytułem członka Z. Z. Literatów. Brawo. Więcej takich konkursów, a okaże się iż amatorzy na głowę pobiją talentem zawodowców. I to byłoby dopiero upowszechnienie kultury, i to by może zmusiło nasze wielkości do poważnego traktowania swego zawodu. Konkursom, za wspaniałą bodziec w literaturze.

KONGRES INTELEKTUALISTÓW WE WROCŁAWIU

Wczasie trwania Wystawy Ziemi Odzyskanych, w dniach od 25 do 28 sierpnia, odbędzie się we Wrocławiu międzynarodowy kongres intelektualistów. Organizatorzy spo-

dziewają się przybycia około 500 uczestników Zjazdu. Na liście zgłoszeń figurują już takie nazwiska jak prof. Joliot-Curie, Duhamel, Benda, Salacrou, Picasso, Caldwell, Eluard, Aragon, Priestley, Pablo Neruda, Huxley i inni. Polskę reprezentować będą m. in.: Iwaszkiewicz, Parandowski, Nalkowska, Dąbrowska, Kruczkowski i inni.

Celem kongresu jest manifestacyjna obrona pokoju. Na kongresie ogłoszone zostaną cztery referaty o których nastąpi dyskusja. A oto tematy referatów: 1) Pokój i kultura, 2) o wolności kultur narodowych, 3) Nauka i postęp, 4) O wzajemnym przenikaniu kultur narodowych.

Oczekuje się także, iż w obradach kongresu zabiorą głos drogą radiową Wallace i Einstein.

Swoistą wymowę posiada fakt, iż kongres ten odbędzie się tuż przed wrześniową sesją ONZ.

Inicjatorem i organizatorem kongresu jest specjalny komitet polsko-francuski.

PROŚBA O NOWY FESTIVAL TEATRALNY

Festival Szekspirowski (sezon 46/47) w Polsce zakończył się bilansem bardzo dodatnim.

Korzyści tej imprezy nie zdołali umniejszyć ani zasadnicze niedociągnięcia organizacyjne, ani smutnej pamięci decyzje sądu konkursowego. Dla każdego interesującego się teatrem już po obejrzeniu pierwszych spektakli szekspirowskich stało się jasne, iż teatr polski, w równie rekordowym jak i w innych dziedzinach życia tempie, wrócił do swej wysokiej formy.

Festival szekspirowski wydawał się zrazu być imprezą zakreśloną przez ambicje ludzi teatru — realizacja imprezy udowodniła, iż ambicje te miały swe uzasadnienie. Mieliliśmy prawo myśleć o tak poważnym przedsięwzięciu. Zamiary nie przekraczały sił. Aktorzy, pozbawieni możliwości kontynuowania pracy w swoim zawodzie w latach okupacji zrobili wszystko, by okres kelnerowania lub handlu papierosami nie zostawił żadnego śladu w ich grze. I istotnie gdyby nie kosmetyki siwych włosów (jeśli się ich nie przykryło peruką), gdyby nie bardziej zgarbione sylwetki mogłyby się zdać iż nie się tu od r. 1939 nie zmieniło. Młody narybek aktorski, wyjął, jak się to mówi, ze skóry, by sprostać pięknym tradycjom naszej sceny. Zdała także egzamin publiczności tłumnie uczęszczająca na spektakle, o których sędziło się jeszcze nie tak dawno, iż są przeznaczone i dostępne intelektualnie tylko dla garstki wtajemniczonych.

W okresie festiwalu można i trzeba było dokonać po raz pierwszy, a w sposób decydujący, rewizji pojęć o stosunku szerokiego mas społeczeństwa do tzw. repertuaru klasycznego. To zjawisko stanowi jeden z najistotniejszych sukcesów szczęśliwej inicjatywy urządzania festiwalu. Słowem, można mówić o wielkich i trwałych korzyściach tej imprezy.

Powstaje tylko pytanie dość zasadnicze. Co skłania mnie do tego, by przypominać wydarzenia sprzed roku? Spóźnione podsumowanie? Ktoś z Czytelników pomyśleć może, iż otrzymał przez pomyłkę zesłoroczny numer pisma.

Nie ma tu żadnej pomyłki. Wracam świadomie do tematu, zupełnie celowo grubą linią podkreślam raz jeszcze znane wszystkim korzyści pierwszego festiwalu, bo chcę prosić ludzi decydujących o rozwoju naszego życia teatralnego o urzędzenie podobnej imprezy w sezonie 1948/49.

Nadarza się okazja znakomita. Rok 1849 przyniósł kulturze polskiej stratę podwójną: w tym roku umarł nie tylko Fryderyk Chopin, o czyni, sądząc z przygotowań, pamiętamy, ale i Juliusz Słowacki. Szykujemy się do Roku Chopinowskiego. Brawo! Warto jednak pomyśleć również o jakiejś formie uczczenia setnej rocznicy śmierci autora „Kordiana”.

Wolanie o jubileusz Słowackiego wynika nie z narodowej skłonności do wspominkowych uroczystości. Chodzi o sprawę znacznie ważniejszą: o zbliżenie poety do narodu. Nie sądzę by mogły istnieć sprzeczności. By zarzucono brak celowości takiego jubileuszu.

Pragnę zwrócić uwagę na jeszcze jeden niedostrzeżony w omówieniach sukces festiwalu szekspirowskiego. Mała tylko garść ludzi (wsuktek wadliwej organizacji) miała

Wędrowniki po scenach polskich

możność oglądania finałowych spektakli. Mimo to o Szekspirze było głośno. Wystawiano go we wszystkich niemal teatrach. Terminy poszczególnych premier zbiegały się ze sobą. Widz, który oglądał „Sen nocy letniej” na Śląsku spotykał się nazajutrz z recenzją z „Burzy” wystawionej u Schillera, czytał tę recenzję, pogłębiał swoje wiadomości. Można zaryzykować twierdzenie, iż wskutek wielu wypowiedzi recenzentów zainteresowali się twórczością Szekspira, nawet ci, którzy nie widzieli żadnego spektaklu. Była to, można tak określić, ofensywa kulturalna na froncie bardzo szerokim pod hasłem: poznajemy Szekspira.

I z tego właśnie względu proponuję konkretną formę uczczenia setnej rocznicy śmierci autora „Króla Duchy”. Urządźmy festiwal teatralny dramatów Słowackiego. Projekt imprezy tłumaczy się sam przez się. Zachowany zostaje najistotniejszy

warunek: możliwość dotarcia do najszerzszych mas. Tutaj przecież teatr posiada niewyczerpane możliwości. Można by nawet, aby ofensywa nabrała charakteru jak najbardziej pełnego, zainspirować odpowiednio tematykę przyszłorocznego konkursu zespołów świetlicowych (inscenizacje drobnych utworów fragmenty dramatów itp.), można by, jeśli nie posuwam się w swych projektach zbyt daleko, zgrać w czasie finału obu stopni tej imprezy.

Twórczość dramatyczna Słowackiego ma swoje źródło w Szekspirze. Zachowujemy w ten sposób związek z poprzednim festiwalem. A z drugiej strony, powiedział ktoś, bodajże Józef Kotarbiński, bardzo słusznie, iż gdybyśmy dobrze znali dramatię Słowackiego mniej tysiąc zadośćci Anglikom Szekspira. Do dyspozycji mamy przecież olbrzymi materiał: Mindowe, Maria Stuart, Kordian, Balladyna, Horsztyński.

Beatryks Cenci, Lilla Veneda, Mazeppa, Fantazy, Złota czaszka, Książka Marek, Sen srebrny Salomei.

Przeistaliśmy się już bać repertuaru klasycznego. Napisał niedawno bardzo trafnie w Kuźnicy Włodzimierz Sokorski: „Siła klasycznego repertuaru zagranicznego czy polskiego, tragicznego czy rozrywkowego jest jego niewątpliwą aktualność w głęboko ludzkich przeżyciach i w głęboko ludzkiej tragedii, radości i walce”. Do pokazywania sztuk tego typu nabrał zaufania nawet najbardziej zapatrzeni w kasę dyrektorzy teatrów.

Rysuje się niewyczerpany szereg argumentów „za”. Przypnieć zresztą trzeba, iż słowa moje nie odkrywają Ameryki. Dyrektorzy scen polskich pamiętają o swym obowiązku wobec twórczości Słowackiego. Nie bez myśli o tej rocznicy Szyfman wystawia „Fantazego”. Bronisław Dąbrowski zapowiada na otwarcie

List do Redakcji

P Stefan Kisielewski odpowiedział mi. Odpowiedział po swojemu jak to Kisiel, przewrotnie, bo zaczął od pochwał, które mogą być szczere, ale od których wolałbym wymyślić, nie mówiąc już o dotkliwym, lecz pouczającym wytknięciu błędów. Niestety, o tym ostatnim mogę tylko marzyć.

A więc Kisiel zaczyna od ogólnej charakterystyki mojej osoby. Stwierdza, że mnie ceni. Niestety, siódmy takiego wyznania zostaje mi z miejsca zatruta zastrzeżeniem „pomimo wszystko”. Najpierw boli mnie że tak znany i ceniony publicysta wyraża się niegrammatycznie. Choć bowiem taka forma, jakiej używa, niewątpliwie ostatnio utarła się, to jednak powinno być „pomimo wszystkiego”. W języku polskim pomimo rzadzi drugim przypadkiem.

Nie umiem pisać ogólnikami, gołymi słowami, na wiatr. Nie umiem być nierzeczywym, umiem pisać tylko o czymś konkretnym. A więc przyjrzyj się, a przynajmniej wylicz to „wszystko”, pomimo którego Kisiel mnie ceni. Czyni tak mimo mojej „pochopeności (sic) do przedwczesnych syntez”, „gwałtownych inwektyw”, „niezręczności formy”, „błędnej lub demagogicznej argumentacji”, „nieudolnej formy wypowiedzi”. Tyle w pochwałę. A w naganię?

Mam „wade”, „mówienia z ogromnym tupetem i hałasem o rzeczach, na których się nie znam (absolutnie), do ukrywania luk w swojej edukacji... za zastaną z krzyku, z hałasu (czy nie pleonazm?), efektownego ferworu”. Nie chce mój szlachetny przeciwnik być gołosłownym, zapowiada więc przypomnienie moich wypowiedzi na tematy muzyczne. Niestety, nie spełnia tej zapowiedzi, poprzestaje tylko na orzeczeniu, że była w nich „powódz elementarnych błędów rzeczowych, pomyłek i jawnych nonsensów”. Do zliczenia „przekreśleń, zapomnień, omyłek” w dwóch moich recenzjach (nb. była tylko jedna) „nie starczyłoby palców u obu rąk”. Niestety, Kisiel nie zagina ani jednego palca do liczenia. Czy mam dalej cyto-

wać? Wspomnę jeszcze tylko jak Kisiel, wszczynając wreszcie spór właściwy, w którym zresztą zbywa nieczym moje rzeczowe zarzuty, jakich przecież było nie mało, zaczyna od argumentu, że odznaczam się „beztroską ignorancją i ciasnotą horyzontów”. I dość, bo naprawdę szkoda miejsca. Chyba starczy tego, by zadać rzeczowe pytanie, kto używa inwektyw, jest gołosłowny, apodyktyczny itp.? Jestem zawiedziony. Dostałem wymysł, które mi się należa, lecz nie otrzymałem pouczenia, którego potrzebuję.

W konkretnym wypadku liberalizmu, Kisiel broni się zapewnieniem, że „on głosi inny liberalizm, niż XIX-owieczny. Jaki? Tego jeszcze szczegółowo nie może napisać, bo go dobrze nie zna. Dopiero studiujcie i mnie radzi to samo. Tu nasuwa mi się parę uwag. W jaki cudowny sposób Kisiel może wyznawać coś, czego nie zna? Jak może być entuzjastą poglądu nieznanego. A przecież głosi liberalizm od roku co najmniej i to z ferworem, by użyć jego wyrażenia, i to nader często. Przy najrzetelniejszej nawet umysłowości, przy najskrupulatniejszym studiowaniu można przeczytać książkę przez rok. W jaki sposób, atakując Kisielela za liberalizm, mogłem wpaść na pomysł, że istnieje jakiś inny liberalizm, gdy Kisiel nieczym tej odrębności nie zaznaczał? A bardzo ciekawym, co to takiego. Musi to być coś w rodzaju błękitnego konia, albo fruującej krowy. Jakaś niezwykła odmiana.

Nie przeczytam książki Pańskiego Niemca, Panie Kisiel. Niemcy nawet przed Lutrem nie mieli ducha katolickiego. Na soborze w Konstancji polska teza teologiczna o nawracaniu i polityce pokojowej wobec pogan zwyciężyła niemiecką tezę o nawracaniu mieczem. Po Lutrze zaś umysłowość Niemców zupełnie się obłąkała. Dlatego nie niemieckiego nie czytam. Nie wierzę nawet katolikom niemieckim, bo są oni bardziej jeszcze sprostakami niż Polacy, choć i nam wiele brakuje. Nie ma Pan szczęścia do polecenia lektury

Jak pogodzić nowoczesne koncepcje planowania z ideą indywidualnej drogi moralnej katolika? Znajdźcie Pan odpowiedź w teologii moralnej. O takie rzeczy pyta protestant, który sam wszystko na nowo rozwiązuje. Katolik w każdym ustroju może się uświęcić. A jak to urządzić politycznie, społecznie, o tym pisałem. Mogę zresztą powtórzyć: czujna kontrola społeczna i podnoszenie ogólnej moralności. Nie widzę co tu może mieć do gadania liberalizm, choćby najdziwniejszego autoramentu. Zresztą z ciekawością posłucham, gdy Pan wreszcie przeczyta Ropkego i napisze o nim.

Ale Kisielewski to jeszcze muzyk. A ja muzykę więcej cenię od literatury. Ma ona szerszy zasięg i głębszy wpływ. Co zrobił w tej dziedzinie? Czy dał nam choć jedną piosenkę? Kompozycji jego żadnej nie znam, ale sądzę po książkach i po wypowiedziach muzycznych, musi to być coś w duchu muzyki nowoczesnej, coś anarchicznego i przeciwnego porządkowi i europejskiemu poczuciu piękna. Łudziłem się, że się czegoś od niego nauczę z krytyki muzycznej. Niestety (znowu), pisze on same banały, ogólnie powtarzane, a obracające się stale w okół ciasnego kręgu pojęć modernistycznych. Bvien aż zmuszony udać się do Anglików, którzy są niezrównanymi konsumentami muzyki i niegorszymi wykonawcami, a prawie wcale nie mają kompozytorów, przez co mogą być bardziej niż ktokolwiek inny obiektywni. Tam rzeczywiście są wspaniałe opracowania i tam znalazłem rzetelną krytykę. Ale nie u Kisielela. Tyle w muzyce jest do zrobienia. Kisiel, przy swoich, tak ciekawych zainteresowaniach, mógłby tyle zrobić, a robi mało i to w złym kierunku. Chciałby natomiast być autorytetem, który wszyscy uznają. To się nie tak łatwo robi.

Tak więc nie chodzi mi tak specjalnie o dobro duchowe samego Kisielela, jak to on żartobliwie przypuszcza, ale o dobro ogólne katolików i organów ich opinii. Samemu

sezonu rewizjonistyczną inscenizację „Kordiana” a później „Marię Stuart” Dąbrowski ma obowiązki specjalne: jego teatrowi patronuje Słowacki. Nie wątpię jednak iż poszczególne dramaty Słowackiego znajdują już swoje miejsce w projektach repertuarowych następnego sezonu. Chodzi tylko o to, by te indywidualne poczynania zgrać rozsądną organizacją w akcję o charakterze ogólnopolskim. Chodzi o to, by po rocznej przerwie teatr rzucił nowe hasło: poznajemy Juliusza Słowackiego.

Sądzę, że po zesłorocznych doświadczeniach organizacja byłaby znacznie lepiej przemyślana, sprawniejsza i sensowniejsza. Nie będę w tym zakresie narzucał się z pewnymi koncepcjami. Na to zresztą w tej chwili za wcześnie. Chciałbym przed tym usłyszeć zapowiedź: będzie festiwal dramatów Słowackiego w r. 1949! Mam wrażenie, że wiadomości tę z wielkim zadowoleniem przyjąłoby całe społeczeństwo,

Mieczysław Mirkowski

Kisielowi życzę jak najlepiej, ale salus rei publicae przede wszystkim. A i on sam też może tylko skorzystać z tych moich zastrzeżeń.

Tak pokrótce wypowiedziałem się o Kisielu i jego poglądach. Nie może mi chyba odmówić rzeczowości i szczerości i uzasadnienia. Może te sądy wydadzą mu się przedwczesne. Ale dokąd mam czekać? On też nie czeka.

Z. Jakimiak

P S. Zapomniałem o jednej rzeczy, która się wydaje Kisielowi argumentem. Boi się on planowania, jakie dziś ogólnie zaczyna być stosowane zarówno w państwach demokratycznych jak kapitalistycznych. Przed planowaniem, widocznie, chce się schronić w liberalizm. Otóż, co do mnie, to cieszę się z planowania. Jest to nawrócił do najlepszych tradycji średniowiecza, gdy cechy skrupulatnie dostosowywały produkcję do potrzeb. Kończy się ekonomia dzika, a zaczyna logiczna. Oczywiście planowanie też powinno podlegać kontroli społecznej i opierać się na potrzebach jednostek.

Z. Jakimiak

P P S — I znowu zapomniałem dodać, że mi wstyd odpowiedzi Kisielela, a to z powodu jej nierzetelności. Wstydzie się takiego przeciwnika. W przyszłości, zapowiadam to uroczystie, na podobne „odpowiedzi” nie będę odpowiadał, milczę, gdy mnie usiłuje uciąć jakiś komar.

Z. Jakimiak

Czytajcie

„SŁOWO POWSZECHNE”

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Bałk)

8

LOT JASKOŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

Ksawery przyniósł album z płytami i przygotował patefon.

— Ja sama wybiorę — prosiła. Oddała jej płyty; postawiła patefon na podłodze i klezczała wśród płyt, porozkładanych po całym dywanie. „W ten sposób jestem przynajmniej pewna, że żadna się nie zbije” — uśmiechnęła się do niego. Przebierała wśród tych okrągłych, ciemnych dysków, odbijających światło zupełnie białe, mleczne, zastygłe. Stanowiły mechanizm, dużo bardziej prymitywny niż radio. Ale radio istotnie mogło być czasami instruzem, instruzem, któremu nie można nic narzucić. Płyty realizowały dużo dokładniej ideał biblioteki muzycznej. Gdy przymknąć oczy, widziało się dyrygenta — był jak ptak nad estradą, ptak bijący skrzydłami, ptak w nierozumnej ekstazie, pozbawiony lęku, nie liczący się ani z niebezpieczeństwem, ani ze śmiešnością. I z tego powstała muzyka, to „Popołudnie fauna”, które wybrała Krystyna. Pachnące trawy, drzewa, daleki zapach kwitnących akacji — to wszystko podejmowało teraz melodię fletu i zrywało się ku górze, ponad usta tego, który leżał niedbale, oparty na lewym łokciu i dmuchał cicho we flet, cicho, aby nie głużyć niczego, co zdobywało się na odwagę własnego dźwięku, własnego śpiewu. W to popołudnie padało od strony wirującej płyty świadectwo, że na świecie są rzeczy nowe, że nie obracamy się w zaklętym i wyczerpanym kole ograniczonej liczby elementów. Każda chwila styka ze sobą możliwości, które były pozornie tak oddalone, i rodzi się wtedy coś nowego, czasami wręcz karkołomnego przez zdolność do kontrastu, przez podkreślenie przeciwieństw. Cały urok muzyki, pomyślał Ksawery, to jej zdolność do zamieniania kontrastów w jedność melodii, w harmonizowanie.

Krystyna siedziała na dywanie z podkurczonymi nogami, z ciężarem ciała przetrzucanym na lewe ramię, z głową uniesioną lekko w stronę sufitu czy może w stronę okna. Za szybą świeciły resztki słabego słońca i widocznie zrobiło się jej żal tego, co było za oknem, gdyż, skoro tylko patefon ucichł, zerwała się z miejsca.

— Nie poszedłby pan ze mną na spacer?

Zostawili płyty na podłodze w zupełnym nieporządku, jakby gnani nagle nieludzkim pospiechem. Ubierali się szybko i dopiero wypadli z domu na ulicę, ochłonęli z naciśniętymi przyspieszenia. Stanęli na trotuarze i roześmieli się.

— Dokąd pójdziemy? Do parku?

— Nie, w pola. Nie do parku, a w pola, w pola.

Ziemia była miękka, nawet grzązka; jeszcze nie obeschła po przedwiośniu. Cicho było — i ta cisza Krystynę wyprowadzała z równowagi. „Jestem pewna — powiedziała do Ksawery — że gdyby nie było na wschodzie rewolucji, byłabym wyrosła na taką zwykłą pannę z powieści. Pole i wieczór — zatoczyła krąg ręką — bardzo mnie wzruszyłyby... Ale ja już nie pamiętam, co to znaczy mieć na własność, rozumie pan, nie jestem związana. I nie lubię wsi. Lubię tylko pole, jako wytchnienie dla oczu, wolę miasto, ulicę, ruch i światło”.

Zatrzymał się. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego pan stoi?

— Chcę powiedzieć, że miasto jest dowodem jak bardzo postęp techniczny i bo ja wiem, może w ogóle postęp, prowadzi do samotności, do ubóstwa wreszcie. W mieście człowiek nie ma nic swojego, poza legowiskiem. I dlatego nie przywiązuje się. Jest nostalgiczny za wsią, ale tęsknić do miasta?

— Ja na wsi tęskniłabym do miasta. Miasto jest nowoczesne, jako możliwość walki, możliwość przygody. Na wsi toczy się jedno powolne życie, w mieście prowadzi się naraz kilkanaście rodzajów istnienia.

Pomyślał, że Krystyna jest zabawnie ogarnięta przez poczucie liczby. „Czy i w sposobie przeżywania swojego życia chodzi o ustalenie rekordu” — zapytał ironicznie. Wróciła do jakiejś jego poprzedniej uwagi i wyraziła się, że nie sądzi, aby miasto prowadziło do ubóstwa, jeżeli tak należy rozumieć

jego myśl. Na wsi uprawia się egzamin terenu. Ludzie dzielą się drzewami i łąkami i utrzymują, że pole podzielone jest granicami. W mieście uczą się korzystać wspólnie z przestrzeni. Nie zagarniają jej dla siebie.

— Poza właścicielami domów — zauważył.

— Sam pan widzi, że stanowią oni anachronizm — uśmiechnęła się. — Nie, własność nie jest kradzieżą. Jest anachronizmem, który się przeżył, przestał być pożyteczny.

Zrobiło się szaro i wracali ku miastu. Nie umiałby powiedzieć jak szybko zeszło to popołudnie. Niespodziewanie przypomniał się Ksaweremu ksiądz Kabata — jak ktoś, nie należący do jego świata, oddalony, wywołany z poprzedniego wcielenia. Zaisze, Ksawery dochodził do wniosku, że ksiądz Kabata i tacy jak on za wiele wysiłku wkładają w ustalenie samych sposobów postępowania, samej metody życia. Szczęście — myślał, idąc obok Krystyny — polega na tym, aby nie szukać siebie ani nie ustalać dla siebie z góry żadnych ram. Raczej usuwać się z drogi tam wszędzie, gdzie powstają jakieś schematy, jakieś żądania w imię normy zewnętrznej. Zachować wolność, zachować swobodę — to znaczy nie poddawać jej nikomu.

Nie poddawać jej nikomu — a więc i Krystynie. W tych dniach, które nastąpiły po owym niedzielnym popołudniu, Ksawery przynajmniej początkowo był skłonny tak ostro problemu nie stawiać. Potrzebował obecności Krystyny, widoku Krystyny. Nie miał żadnych zajęć, które mogłyby mu normować czas. Tym bardziej spotkania z Krystyną stawały się normą, regulującą rozkład tygodnia. Jego kalendarz był teraz całkowicie dostosowany do tych godzin, które mogła dać. Całe przedpołudnie, aż do czwartej, kiedy kończyła pracę w biurze, mijało bez znaczenia i bez napięcia. Toczyło się sennie jak nizinna rzeka wśród olch i torfiastych łąk. Dopiero potem, od pory obiadu, który teraz często jadał razem, zwłaszcza w te dni, kiedy Krystyna miała wieczorem zebranie czy pracę w świetlicy, zaczynało się życie, to znaczy czyhanie na jej wolną porę, na wyciąganie Krystyny na jakieś zasadnicze rozmowy, ale nieuporządkowane i nie dotyczące zresztą żadnych zagadnień. Jak kiedyś z Moniką, odczuwał teraz znowu konieczność opowiadania o sobie. Była różnica: Monice opowiadało się raczej o zamysłach, o przyszłości, wobec Krystyny głosu domagała się przeszłość. Nie tolerowała by żadnej spowiedzi, Ksawery wiedział, że znużyłaby się szybko spowiedzią. Nie, Ksawery jako pewne ludzkie życie Krystyny nie obchodził. Nie domyślał się, ile nieświadomego podstępów było w tych jego opowiadaniach o sobie, podobnych do zbioru anegdot. Była wrażliwa na anegdotę, słuchała tego, jak inni czytają powieści. Jeżeli ją zajmował, to przez anegdotę, przez opowiadania, których był bohaterem.

Rauchenberg wyjechał na kilka tygodni do Paryża i co parę dni dostawała od niego listy pocztą lotniczą. Miała teraz więcej czasu: cały ten czas, który przedtem zajmował jej Rauchenberg, zagarnął teraz Ksawery. Zresztą, listy nie zawierały nic z tego, co wnosili żywy człowiek. Wydawały jej się niekiedy banalne, zwłaszcza w aluzjach, że myślał o niej, że nauczył się kochać Warszawę. „Nie powinieneś używać tego rodzaju pięknych zwrotów — wytknęła mu w jednym ze swoich listów. — Jestem gotowa przypuścić, że mnie nie pamiętasz i że dlatego chcesz, abym miała powód do pociechy. Wiesz sam, jak oboje szczydziśmy z tęsknoty. Szczydziłiny, a jednak jesteśmy jeszcze sentymentalni. Broń Boże! nigdy nie pragnęłam być trzeźwa. Sentymentalizm cechuje ludzi trzeźwych i umiarkowanych. Jest jedynym nieumiarkowaniem, na jakie pozwala im rozsądek. Zdaję sobie sprawę jak dalece sentymentalizm nie jest kosztowny wewnątrz”.

Ten fragment go czegoś nauczył. W liście, który potem odebrała, nie było już japońszczyzny aluzji. Zawierał on natomiast szereg uwag na temat wojny, która — zdaniem Rauchenberga — była nieuchronna. „Nale-

ży — pisał — pakować kufry i wyjeżdżać do Ameryki łacińskiej. Jest to jedyny rezerwat, dokąd wojna nie dotrze. Wiesz sama jak głęboko jestem pacyfistą. Jednak tym razem nie tylko zapóźno jest mówić jeszcze o pokoju. Po prostu, przed światem nie wiadać innej drogi”. Dodawał, że jak zawsze jest niesłychanie zajęty. Odbijał tyle rozmów, niepozabawionych znaczenia... Dawał do zrozumienia, że skala tych konferencji przekraczała znacznie format dotychczasowy, właśnie w związku z nadchodzącą wojną. „Przeciętny paryżanin nie chce wojny, nie oswoiła się z wojną jeszcze cała Francja, choć wie, że gdy przyjdzie co do czego, będzie musiała wystąpić. Teraz wypadki pokierują ludźmi i w ten sposób Francja będzie miała wojnę narzuconą — w dwadzieścia jeden lat później”.

Czy Krystyna zdawała sobie sprawę jak ogromną rolę w jej stosunku do Rauchenberga odgrywało przekonanie, że Rauchenberg jest kimś więcej, niż tylko dyrektorem jednego z wydziałów w zakładach bukowieckich? W każdym razie ceniła najbardziej w ich stosunkach ten właśnie moment, że znajdowały oparcie w sprawach niejako pozacosobistych, w sprawach ogólnoludzkich. Bez wątplenia, inaczej ich położenie byłoby banalne i wycięte z bulwarowej komedii: dyrektor i maszynistka, byłoby nie do utrzymania. Rauchenberg sam powiedział, że jedyną, co ma wagę w stosunkach międzyludzkich — to podstawa porozumienia. Był człowiekiem nieprzeciętnym, wyjątkowym, o tym nie mogło być dyskusji, zgadzała się. Jednak nie przez formalny rys tajemniczości, jakim się otaczał, jaka go otaczała. Tym bardziej ceniła to wszystko, co jej sam o sobie powiedział, ostatecznie w sumie niewiele. „Jestem z tych niewielu, którzy wierzyli w Jaures'a jeszcze nim go zdradziecko zgładzono, nim zrobiono z niego jednego ze świętych socjalizmu. Trzeba wierzyć w ludzką” Kiedys zdobyła się na olbrzymią odwagę i zapytała go, czy należy do łoża. Roześmiał się — długo, dobroduszenie i po ojcowsku.

— Moje dziecko, gdyby nawet — przecież nie mógłbym o tym mówić. O tym się tylko milczy.

Chodziło więc im obojgu o sprawy ogólnoludzkie. Kiedys, gdy była u niego w gabinecie z aktami, w chwili, gdy naciskała już kławkę, zapytał ją głosem, który ją uderzył, jak zawsze, chropawym i gardłowym, lecz widać specjalnie ścisłym, przystosowanym do nieco niedyskretnego charakteru pytania:

— Pani jest socjalistką z przekonania, czy z szaleństwa?

Odwrociła się i stanęła przy drzwiach niemal w postawie na baczność.

— Tak jest.

— Przepraszam — uśmiechnął się jeszcze łagodnie. — To mnie zainteresowało, to jest rzadkie w pani generacji. Nous autres — wstawił automatycznie te dwa obce słowa, zresztą mówił po polsku świetnie — my byliśmy wszyscy kiedys. — Pani rozumie, spoglądam na panią jak na młodego kolegę, trochę po ojcowsku. — Musimy kiedys obszerniej porozmawiać, zgadza się pani? Zawsze byłam zdania, że ideały.

Skinął ręką i nachylił się nad biurkiem. Wymknęła się cicho z gabinetu i nie zdążyła mu nawet odpowiedzieć. Nie wiedziała, co w ogóle o tym myśleć. Ani przez chwilę nie wzięła, że Rauchenberg mówił na serio. W biurze miał opinię człowieka, który wygłasza dziwne poglądy. Stary pan Dziadziński uważał Rauchenberga otwarcie za masona i dawał upust swej złośliwości tym obfitymi, im z coraz bardziej wyszukaną uprzejmością Rauchenberg go traktował. Z końcem roku zresztą Dziadziński otrzymał zwolnienie z powodu przekroczenia granicy wieku oraz obfitym odprawę. Utrzymywał, że to jest tylko wyrafinowany sposób, aby się go pozbyć z zakładów. „Tu są tacy, którzy się mnie lekają” — twierdził z przechwałką. Zwolnienie z pracy stanowiło dla niego dotkliwy cios moralny. Po raz pierwszy pomyślał, że umrze, że teraz już niedługo umrze. Bo ta-

kie są etapy życia — człowiek się rodzi, gdy dorasta, zaczyna pracować i zakłada rodzinę. Potem zbliża się emerytura i śmierć. Jedyną pociechą było to, że go się obawiano. Stanowił więc coś jeszcze w życiu. Tym niemniej, zwrócił się do Krystyny z prośbą, aby się za nim u dyrektora wstawiła.

— Inaczej niedługo umrę — powiedział z jakąś niezrozumiałą dla niej logiką.

Rauchenberg nie zgodził się jednak na zmianę decyzji i nawet był bardzo niezadowolony z tego, że Krystyna wystąpiła w sprawie Dziadzińskiego.

— Zrozum mnie dobrze, pragnąłbym nasze stosunki odbarwić zupełnie od prozy tego biura, aby jak najmniej być zmuszonym do pamiętania... Bądźmy wolni od prozy.

Zresztą był zdania, że w życiu nie chodzi o żadne obiektywne sprawy. W życiu nie ma wcale miejsca ani na teorie, ani na obiektywizm. Tak, są ludzie ograniczeni, oni wierzą w doktryny. Można się litować tylko... Ludzkość, jedyna wiara, która przestaje być wiarą w sensie dosłownym, bo ostatecznie nie ma w niej bożków. Ludzkość, wyłącznie pojęcie. Świadome odwoływanie się do pojęcia, wzniosłość pojęć...

Niewątpliwie, w przeciwieństwie do Tadeusza Rauchenberga był mgławicowy i chaotyczny. Uważał, że socjalizm Krystyny i jego własny pogląd na ludzką jeźli nie są identyczne, to dopełniają się w sposób doskonały. „My musimy być sprzymierzeńcami”. Niekiedy jeździł z nią swoim samochodem do świetlic, do klubów, do lokali partyjnych. Najczęściej siedział w milczeniu, obserwował i słuchał. Tylko po oczach, zaw sze trochę zamąconych jak piwo wstrząśnięte i napełnionych niepokojem, widziała, że nieraz chciałby coś powiedzieć. Krępował się i milczał. Robotnicy nazywali go towarzyszem i widać było, że ta nazwa sprawia mu przyjemność. Nie lubił jednak Czelepińskiego i niechęć w tym wypadku polegała na wzajemności.

— Wolę o wiele prawdziwy proletariatus — mówił — niż jego przywódców, którzy wnoszą najgorsze cechy inteligencji, swoje przesady o logice. Nie istnieje logika, ani w historii, ani w życiu. Istnieje tylko silna namiętna wizja lub jej nie ma, kwestia uczucia, którą socjaliści — inteligenci fałszują jako logikę. Jaures byłby przeciwko temu.

Broniła Czelepińskiego, nie chciała go tak łatwo oddawać. Uznawała wyższość Rauchenberga nad sobą, uznawała, że jest nieprzeciętny. Był jednak w jej oczach wielkością innego rzędu niż Czelepiński, mimo wszystko należał do innego świata; był mniej rozumiały, mniej własny niż Tadeusz. Wiedziała — podświadomie, z instynktu, że skoro by w jej oczach Rauchenberg zyskał przewagę moralną nad Czelepińskim — byłaby zdana na łaskę i niełaskę dyrektora. Przyjmowała z niedowierzaniem jego opowiadania, gdzie zawsze był bohaterem, niepokonanym i swobodnym farysem. Irytowała go niezmiernie ta forma biografii obrony. Pokazywał jej albumy z fotografiami, namiętnie zbierał fotografie. Zdjęcia Krystyny w szkockiej czapeczce — w samochodzie, obok samochodu, przed kościołem w Myszyńcu, w zbożu, na łodzi — dołączone zostały do albumu jako rozdział ostatni, jeszcze bez tytułu. Zaczynały się te zbiory olbrzymie, troskliwie wlepione i oznaczone zapisami, z tą pedanterią, która mogła właśnie na tle obyczajów Rauchenberga wystąpić szczególnie jaszkrawo, jako zjawisko nieoczekiwane i niedostrojone, od zdjęć z frontu salonickiego, gdzie Rauchenberg był w sztabie marszałka Franchet d'Esperay. Potem sły zdjęcia z Rosji, z okresu tuż przed rewolucją październikową. „Byłem przydzielony do naszej ambasady w Piotrogradzie, w misji szczególnej — rozumiesz” — wyciągnął przed siebie wskazujący palec i przymknął oczy jak w ekstazie. „Co wtedy się przeżywało, sapristi! O, tu masz zdjęcia Reeve'a: powiadam ci, najlepszy z agentów Intelligence Service... Trudno byłoby się z nim równać... Nie żyje, zginął w tym odmieńcu zimy 1917 roku”.

— O tak — powiedział — wracając do twego przyjaciela, pana Czelepińskiego, ich język, język socjalistów... Znam wzniosłość i patos ich języka, sztuczny, sentymentalny, trochę zapląkany — Langage, pas la langue. Są oratorami — i dlatego przegrywają. Nikt tak nie wierzy w siłę słowa jak socjaliści.

C. d. n.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO RED. „DZIŚ I JUTRO”

w Warszawie

Nawiązując do listu p. Jakimiaka w nr 17 „Dziś i jutro” z dn. 25.IV.1948. pragnę zabrać głos w dyskusji i liberalizmie, a zachęca mnie do tego prawdziwy „liberalizm”, z którym Redakcja umieszcza głosy czytelników, wyrażających różne opinie.

P. Jakimiak określił liberalizm jako pogląd, który głosi prawo człowieka do wolności i jako ruch, dążący do zapewnienia jak największych swobód indywidualnych. Pozwól sobie uzupełnić tę definicję. Wydaje mi się, że w ustroju liberalnym państwo ogranicza się do funkcji rządzenia. Uprawnienia władzy są nieliczne i ściśle określone obywatel wie dokładnie, kiedy i do czego może być zmuszony, a za co ukarany. Konsekwencją takiego ustroju są m. in. dwa zjawiska:

1) Słabość państwa w stosunku do obywatela: za Wilhelma II trudniej było wywłaszczyć jednego człowieka, niż za Hitlera — wysiedlił całą prowincję.

2) Siła obywatela w stosunku do państwa. Jednostka w takim ustroju mogła rozmawiać z władzą, jak równy z równym, procesować się, a nawet wygrać; żyją jeszcze starcy, pamiętający takie wypadki.

P. Jakimiak odrzuca taki ustrój. Obawia się, że doprowadziłby do niesprawiedliwości i wyzysku, a to wobec skłonności ludzkiej do zła, wywodzącej się jeszcze z grzechu pierworodnego.

Możliwe, że liberalizm przeżył się i nie da się dziś urzeczywistnić. Wydaje mi się jednak, że argumenty p. Jakimiaka są mało przekonujące.

Nieufność do natury ludzkiej jest zupełnie uzasadniona — ale dlaczego zwraca się ona tylko przeciw rządcom? Przecież ludzie tworzący grupę rządząca również są obciążeni skutkami grzechu pierworodnego. A w takim razie nadużycia i błędy ze strony władzy są równie prawdopodobne, jak nadużycia swobody.

Lucjan Nowak

DO RED. „DZIŚ I JUTRO” NA MARGINESIE ARTYKUŁU „OSTROŻNIE Z ROMANTYZMEM” W NR 150”

Trudno o zamiar, bardziej chwalebny, niż zwalczanie naszego rodzimego romantyzmu w dziedzinie społecznej i politycznej. Tyle już pocisków padało na tę pozycję z broni różnego kalibru, epur si muove... Czemu się to dzieje?

Dlaczego krytyczny stosunek do niego, reprezentowany przez Dmowskiego, nie nie zmienił w chwili kiedy tenże romantyzm świecił najbardziej jaskrawym tryumf w Powstaniu Warszawskim, a młodzież, tyle razy zastrzegająca się przeciwko cierpiętnictwu, dokonała jeszcze jednego aktu politycznego romantyzmu.

Pomimo całej mojej sympatii dla zamiarów Sz. Autora, obawiam się, że i jego usiłowania pozostać mogą również bezskuteczne.

Dlaczego? Dlatego, Szanowny Panie, że metoda, jaką Pan obrał, nie może być skuteczna.

Cóż łatwiejszego, jak obarczywszy romantyzm zarzutami i postawiwszy go pod pręgierz potępienia, rozprawić się z nim jednym ciosem. Jest to tak jak zwycięstwo nad hydrą, której ucina się według własnego wyboru poszczególne członki, pozostawiając niekniętą głowę.

A głowa jest całkiem gdzie indziej, niż nam to Sz. Autor wskazuje...

Bo jest rzeczą obojętną, co kto pamięta o romantyzmie, ważne tylko to, co przeciętny wciela w życie jako pierwiastki romantyzmu. A zresz-

ta i z tym pamiętaniem: istotne, że ci, co w ogóle pamiętają, potrafią powtórzyć nie to, o co ich Pan pyta, lecz dobrze znane: „mierz siły na zamiary”, „Nad poziomem wylatują” i „Na śmierć idź po kolei jako kamienie, rzucane na szaniec”.

To jest istotne, jeżeli już chodzi o materiał pamięciowy, istotny dla sprawy.

Zaopatrywanie zwalczanego kierunku w zarzuty słabizny, mętniactwa, hysterii itd. nie ułatwi załatwienia tej sprawy. Z jeszcze większą szlachetnością mógłby Sz. Autor dorzucić „kabetynizm polityczny”, ale co z tego? Czy katolicyzm można zwalczyć, mówiąc o bigoterii, obłudzie itp. odpadkach prawdziwej wiary? Ludzie są ludźmi na wszystkich szczeblach: wśród bohaterów obrońców w Powstaniu i wśród rabusiów i wszelkiej hołoty?

Trzeba przede wszystkim jak mówi Bernard Shaw, dać diabłu szansę, dopiero wtedy można go zwalczyć skutecznie. A przede wszystkim — trzeba sobie zdać sprawę z tego, że po drugiej stronie nie było pierwiastków, które mogłyby zrównoważyć narodowy subiektywizm i ową „tkliwość”, cechującą dodatnie typy polskich „romantyków” w polityce. **Polscy realisci są winni, że uczucia polskie szły bezkrytycznie w kierunku romantyzmu**, bo nikt nie umiał skierować tych odruchów uczucia na drogę skutecznej akcji. Iluż to było w Polsce Wielopolskich, nie rozumiejących, że nie można zrobić dla narodu bez narodu.

Porachujmy się ileż to w naszej najbliższej przeszłości obciąża jest po stronie „kamieni, rzucanych na szaniec”, a ile po stronie tych, co rzucając je, winni byli być skrajnymi realistami i mieli po temu możliwość?

Polscy realizm, pretensjonalny i pytki a brutalny, jest le grand coupable, a nie kamienie romantycznej legendy.

Tu szukajmy naprawy. Jeżeli nie znajdziemy mędrzych realistów, nie spieszymy z potępieniem przedczesnym romantyków, bo możemy zostać i bez jednych i bez drugich.

Nie próbujmy łowić ryb przed niewodem.

I jeszcze jedno.

Tak się zdarzyło, że artykuł w „Słowie Powszechnym” przeczytałem w tym samym czasie, kiedy przeglądałem artykuły moich przyjaciół i moje własne, pisane przed laty czterdziestu i pięciu. Tyle zmian, a jednocześnie tyle podobieństwa z tym, co czytam w artykułach Sz. Autora.

A więc: ogólniki, ogólniki bez końca, Ton apodyktyczny, pluralis majestaticus. A skutek? Nam jest znany z autopsji: przeciwników nie przekonaliśmy, najbliższym zwolennikom sprawiliśmy niezdrową emocję samozadowolenia i dziś z uczuciem zażenowania czytamy własne „dzieła”...

Refleksja ta przyszła mi na myśl pod wrażeniem końcowego ustępu, w którym zapewnia Sz. Autor o swym dążeniu do katerycznego odgródnienia się itd. To, co jest w romantyzmie politycznym istotnego, jest tak ściśle związane z naszą zbiorową psychologią, że szkoda byłoby zmarnowanej energii na tę operację. Samego siebie za włosy z wody się nie wyciągnie, trzeba z początku rzucić deskę ratunku.

„Przystoi nam pokora”. Powiedział o to wprawdzie pewien pułkownik rosyjski, potem powstańca 31 roku, ale z tymi obciążeniami, to lepiej nie zaczynać, bo coź pocniemy z Matejką, Romualdem Traugutem? a zresztą i Janem Henrykiem, korespondującym z rodziną w mowie Goethego?

A teraz jeszcze jedno: czy nie warto bronić nam czystości języka i nie wpuszczać do tekstu takich przybłędów, jak „wypowiedzi”, „osiągnięcia” i pokrewne? Tyle jest czysto polskich, a przecież w tej dziedzinie argument czystości rasowej jest nie mniej ważny niż w genealogii filozofa...

Proszę przyjąć sine ira te moje refleksje, jako podyktowane jedynie troską ne quid res publica detrimenti capiat.

Wyrazy wysokiego szacunku łączę
Banita

GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE ALBO KOBIETA, NAUKA I ŻYCIE

Czy kobieta powinna studiować? Jaką rolę mają studia w życiu kobiety? Dyskusje na te tematy wzbudzają się zwykle od mniej lub więcej dowcipnie sformułowanej aluzji do „babskiej” ignorancji na pewnym punkcie i przebiegają w tonie żartobliwym. Niemniej jednak ograniczenia dla kobiet na wielu wydziałach jak medycyna, pewne działy politechniki i A. G. i inne, uwagi wychodzące z ust profesorów naszych uniwersytetów i specjalnie nastawienie niektórych z nich na egzaminach do studentek, świadczą o postawieniu tej kwestii w szeregu ważnych. Sądzę, że aby je rozwickać, należy przede wszystkim przywrócić się naturze i umysłowości kobiecej zupełnie imięj od męskiej. Zasadnicze przeciwieństwo stwarza fakt, że u mężczyzny intelekt rozwija się na podłożu racjonalnym, a u kobiety ma wiele z intuicji (według Dorozińskiego). Racjonalizm i emocjonalizm, rozumowość i uczuciowość — to główne cechy psychiczne właściwe z jednej strony mężczyźnie, z drugiej kobiecie. Przeważnie instynktownie logiczne ujmowanie kwestii życiowych i naukowych przez kobietę wynika jak-gdyby wprost z jej podświadomości i jaskrawo różni się od spekulatywnego rozumowania i pełnego logicznej konsekwencji działania mężczyzny. Nie przesadza to jednak wcale „niższości” intelektualnej kobiety. Co lepsze instynkt czy rozum — pozostanie zawsze kwestią nierozwiązaną. Rozumowe i instynktowne podejście do zagadnień i co ściślej stoi w związku z tym — konsekwencja i brak jej — a w związku z tym możliwości do prac zakrojonych na szeroka skalę, wymagających ciągłości w działaniu i z drugiej strony sprytnie rozwiązywanie nieraz zawiłych, lecz oderwanych kwestii, stworzyły tradycyjny zwyczaj niedopuszczania kobiet do pewnego rodzaju zajęć jak np. polityka, prace inżynierskie, a powodzenie ich w dziennikarstwie, w wywiadzie itp.

W zakresie wyobrażeń (według Heymans'a) przeważają u mężczyzn asocjacje przestrzenne i czasowe, a u kobiet skojarzenia na podstawie podobieństwa. Stąd fantazja kobiet jest bardziej plastyczna, analizująca i użytkująca materiał z obserwacji życia i świata, podczas gdy w wyobraźni mężczyzny dają się zauważyć skłonności do kombinacji i inwencji. Tym należy tłumaczyć np. małe upodobanie kobiet do gry w szachy, ich zmysł dekoracyjny. W literaturze najczęściej proste, plastyczny sposób obrazowania (Konopnicka, Hłakowiczówna) — gdy przeciwieństwo nowe, ekscentryczne systemy w formalizmie poetyckim, oparte na konstruktywizmie słowno-wyobraźniowym, a rozwinięte jedynie na podłożu intelektualnym, są wynikiem męskiego zmysłu kombinatorycznego (szkoła Peipera, poezja Przybosa).

Pamięć (według Lobsien'a) jest na ogół lepsza u dziewcząt. Chłopcy pamiętają łatwiej rzeczy, dziewczęta wyrazy i liczby. Stąd dziewczęta przewyższają chłopców w mechanicznym uczeniu się na pamięć blisko o 8%. Pod względem stopnia inteligencji nie ma istotnych różnic. Jak to już podkreśliłam, kobieta jest w myśleniu mniej od mężczyzny ściśła i unika pojęć oderwanych. Jeśli zaś chodzi o dawanie sobie rady w życiu, a więc spryt, musimy stanowczo przyznać kobietom górę. Subtelność i wrażliwość — cechy rozwijające się na podłożu emocjonalnym, lecz ściśle graniczące z inteligencją, częściej są spotykane u kobiet. Etyka jednak kobieca, ideały, wytknięte cele, są równie chwiejne i zmienne jak cały charakter kobiety, niestały i niekonsekwentny. Ulega on wrażeniom chwili i wpływowi uczuć bardziej niż istotnym

względem rzeczowym i dlatego żyje zazwyczaj terażniejszością. Nie-wielka liczba kobiet pracujących z wydatniejszymi wynikami w różnych dziedzinach nauki, sztuki, na polu społecznym i kulturalnym tłumaczy się mniejszym ich zainteresowaniem pracami tego rodzaju, rzadko występującą żądzą wiedzy, zastąpioną zwykle wrodzoną ciekawością i co najważniejsze tradycyjnym niedopuszczaniem do nich. Poza tym potrzeby życia wyznaczyły zaszczytną wprawdzie, lecz zamkniętą w ramach „domowego ogniska” rolę matki, żony, kucharki i stróża rodzinnego szczęścia. Zadania te są istotnym celem, ku któremu dąży cała kobiecość kobiety. Jednocześnie jednak studia wzbudzają liczne konflikty między obowiązkami narzuconymi przez życie i tradycyjne szczęście, a ambicjami pracy naukowej czy zawodowej. Wynik ich jest różny — zależny od indywidualnych cech i warunków życiowych, a dramatyzm rozstrzygnięcia losu ciąży nieraz na całym życiu. Kompromis życia rodzinnego i nauki przy pracy w zakresie ukończonych studiów, w innych zaś wypadkach wyłączne poświęcenie się wiedzy,

stwarzają nowy typ kobiety. Studia, szczególnie na takich wydziałach, jak medycyna, politechnika, fizyka, matematyka wyrabiają cechy psychiczne, których nie posiadała kobieta zamknięta w światku domowych potrzeb. Logika i konsekwencja działania, ścisłość i umiar, a jednocześnie niestety oschłość i zanik „rozkosznej kobiecości” — to wiza kobiety przyszłości, która zastąpionym cechom — instynktowi subtelności, wrażliwości sprytowi — nabytym, które stwarza konieczność życiową, praca i nauka — logice i konsekwencji, nie tylko dorówna we wszelkich dziedzinach pracy mężczyźnie, ale i przewyższy go, bo on skądże nabierze tego co może być jedynie wrodzone? Chyba, że zejdzie do roli, jaką do dziś pełniła jedynie kobieta i drogą mozolnej ewolucji przy garnuszkach i kolysech, chcąc się przypodobać żonie, głowie domu, wyrobi w sobie, instynkt, subtelność, wrażliwość, kokieterię.

Barbara Lipczyńska

Zgłoszenia do Małego Seminarium Duchownego w Słupsku

Młodzieńcy, którzy posiadają t. zw. małą maturę i pragną poświęcić się służbie Bożej, jako kapłani świeccy na Odzyskanych Ziemiach Zachodnich, mogą zgłaszać się do Małego Seminarium Duchownego w Słupsku, ul. Karola Szymanowskiego 5.

Do zgłoszenia należy dołączyć:

1. własnoręcznie i dokładnie napisany życiorys,
2. świadectwo małej matury,
3. świadectwo chrztu św.
4. świadectwo moralności od ks. prefekta,
5. świadectwo lekarskie,
6. dwie fotografie.

ZJAZD B. WYCHOWANEK SZKOŁY IM. PLATER-ZYBERK

odbędzie się w KIELCACH

w dniach 28 i 29 sierpnia 1948 roku

Informacji udziela: Kielce J. Reuttówna

Gim. Im. Stanisława Kostki — Zródłowa 17

WNĘTRZE I WYSTAWA

SPOŁKA Z OGRANICZ. ODPOWIEDZ

PROJEKTOWANIE I WYKONYWANIE WNĘTRZ I MEBLI PRZEZ FACHOWCÓW ARCHITEKTÓW I WYKWAŁIFIKOWANYCH RZEMIEŚNIKÓW • BUDOWA PAWIŁONÓW I STOISK WYSTAWOWYCH • PROJEKTOWANIE FASAD I WNĘTRZ SKLEPOWYCH • PORADY FACHOWE W ZAKRESIE URZĄDZANIA I DEKORACJI WNĘTRZ MIESZKALNYCH

WARSZAWA. PLAC GRZYBOWSKI 2.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.50

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 80 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-54280